ŚWIATOWE ŻYCIE®

Jackie Ashenden

Już nie chcę do Ameryki

HARLEQUIN®

Jackie Ashenden

Już nie chcę do Ameryki

Tłumaczenie: Zbigniew Mach

HarperCollins Polska sp. z o.o.
Warszawa 2022

Tytuł oryginału: *The Italian's Final Redemption*

Pierwsze wydanie: Harlequin Mills & Boon Limited, 2020

Redaktor serii: Marzena Cieśla

Opracowanie redakcyjne: Marzena Cieśla

© 2020 by Jackie Ashenden
© for the Polish edition by HarperCollins Polska sp. z o.o., Warszawa 2022

Wydanie niniejsze zostało opublikowane na licencji Harlequin Books S.A. Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiejkolwiek formie.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiekolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych i umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

Harlequin i Harlequin Światowe Życie są zastrzeżonymi znakami należącymi do Harlequin Enterprises Limited i zostały użyte na jego licencji.

HarperCollins Polska jest zastrzeżonym znakiem należącym do HarperCollins Publishers, LLC. Nazwa i znak nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.

Ilustracja na okładce wykorzystana za zgodą Harlequin Books S.A. Wszystkie prawa zastrzeżone.

HarperCollins Polska sp. z o.o.

02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 34A

www.harpercollins.pl

ISBN 978-83-276-7962-8

Konwersja do formatu EPUB, MOBI: Katarzyna Rek / Woblink

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Lucy Armstrong zaplanowała swoje własne porwanie z precyzją szwajcarskiego zegarmistrza. Miało przebiec prosto, bez rozgłosu w mediach i… raz na zawsze wyzwolić ją spod władzy kontrolującego całe jej życie ojca.

Łatwo pomyśleć, trudniej zrobić. Dla Michaela Armstronga Lucy była bezcenna. Nie dlatego, że był jej ojcem. Losem córki w ogóle nie zaprzątał sobie głowy. Wiele lat temu wynajęty przez niego prywatny nauczyciel odkrył, że dziewczynka jest matematycznym i finansowym geniuszem. Powiedział o tym ojcu, który natychmiast zaczął wykorzystywać ją do własnych celów. Lucy prała zarobione przez niego brudne pieniądze. Wiedziała, że ojciec nigdy nie pozwoli jej odejść bez walki. Zazdrośnie strzegł swojego skarbu, pilnując go dzień i noc.

Tak samo traktował matkę dziewczynki, Kathy…

Lucy wystarczyła jednak godzina wolności, by przeprowadzić drugi etap planu – oddać się w ręce Vincenza de Santi. W trzeciej fazie miała go ubłagać, by ją porwał i ukrył, a w tym czasie ona zniknie na zawsze bez śladu. Ojciec nigdy jej nie odnajdzie.

De Santi był jego śmiertelnym wrogiem.

Lucy nie polegała na innych, ale tylko w ten sposób mogła spełnić obietnicę daną matce. Przed tragiczną śmiercią Kathy obiecała matce, że nie pozwoli ojcu, by ten uczynił z córki więźnia. Że wyrwie się z brudnych rąk tyrana. Śmierć matki nie pójdzie na marne.

Plan ucieczki nie był może najlepszy, ale jedyny, który mógł się powieść. Z matematyczną dokładnością rozpatrzyła wszystkie możliwe zmienne równania. Nikt jednak nie jest w stanie przewidzieć wszystkiego.

Główną niewiadomą był… Vincenzo de Santi.

Lucy odrobiła lekcję. Zebrała informacje. Mafijna rodzina de Santi od wieków cieszyła się złą sławą. Kiedyś – do czasu, gdy matka rodu wylądowała w więzieniu, a stery przejął jej syn Vincenzo – dla tej rodziny pracował też ojciec Lucy.

Vincenzo zerwał ze zorganizowaną przestępczością i wydał walkę mafijnym rodzinom w całej Europie.

Nikt nie wiedział, dlaczego dokonał tej wolty, ale wszyscy widzieli jej skutki. Wsadzał do więzienia członków kolejnych rodzin. Nie miał litości nawet dla własnej matki. Oczyścił biznesowe imperium rodziny, które kiedyś stanowiło wylęgarnię korupcji, zbrodni i przestępczości. Stało się ono modelowym przykładem legalnego biznesu.

W misji oczyszczania własnej rodziny nie miał litości dla nikogo. Podobnie postępował z innym przestępczymi rodzinami. Wkrótce wokół niego zaroiło się wrogów. Był wśród nich ojciec Lucy, który nienawidził go i przysiągł, że go zniszczy.

Właśnie dlatego Vincenzo idealnie nadawał się do realizacji jej planu. Tylko u niego mogła znaleźć schronienie.

Teraz stała przed jego zabytkową, elegancką rezydencją o fasadzie pokrytej bujną winoroślą. Już przedtem zdobyła kalendarz wizyt Vincenza w Londynie. Bywał tu regularnie, doglądając rodzinnych interesów. Lucy musiała się z nim spotkać w cztery oczy. W rezydencji mieścił się jeden z jego domów aukcyjnych, bo Vincenzo był także znanym mecenasem sztuki.

Tutaj chciała się oddać w jego ręce.

Nie miała wiele czasu. Wiedziała, że depczą jej po piętach ludzie ojca, uzbrojeni po zęby siepacze gotowi na każde jego skinienie. Musiała szybko przejść do drugiego etapu planu.

Schyliwszy głowę szybkim krokiem przeszła przez podwójne drzwi domu aukcyjnego. Wewnątrz panował miły chłód. Gdy szła marmurową posadzką w stronę recepcji, echo odbijało jej kroki. W znajdującej się obok poczekalni stało kilka stolików i ozdobionych piękną tapicerką sof. Na ścianach wisiały stare obrazy w złotych ramach. Na stolikach stały starożytne rzeźby i kasety z pancernego szkła z cennymi przedmiotami sztuki. Przez chwilę Lucy miała wrażenie, że jest w muzeum. Panowała idealna cisza. Taką ciszę mogą kupić tylko nieprzyzwoicie bogaci ludzie z pierwszych stron gazet, którzy żyją z dala od świata codziennych trosk o pieniądze.

Lucy zignorowała dzieła sztuki i szybkim krokiem podeszła do wielkiego, antycznego stołu recepcjonisty.

Zawsze najważniejsze było dla niej to, co jest przed nią. Najbliższy cel.

Za stołem siedział elegancko ubrany mężczyzna i wpatrywał się w cienki jak papier ekran komputera. Gdy podeszła, uniósł głowę.

– Słucham panią – powiedział miłym, zawodowym głosem kogoś nawykłego do obsługi gości.

– Muszę natychmiast porozmawiać z panem de Santi, proszę.

Lucy mocno ściskała dłonią ramiączko swojej torby.

– Była pani umówiona? – Głos recepcjonisty nadal brzmiał przyjaźnie.

Pierwsza przeszkoda, pomyślała.

– Nie, ale pan de Santi z pewnością mnie przyjmie. Jestem Lucy Armstrong.

Uśmiech recepcjonisty nabrał wyrazu uprzejmiej odmowy.

– Przykro mi, pani Armstrong, ale obawiam się, że bez umówionego spotkania, pan de Santi pani nie przyjmie. Jest bardzo zajęty.

Lucy nie miała czasu. Za kwadrans ludzie ojca zjawią się w drzwiach. Zegar już zaczął tykać. Złapią ją i siłą odstawią z powrotem do Kornwalii. Ojciec nigdy więcej nie pozwoli jej wrócić do Londynu.

Poczuła lodowaty chłód, który długimi odnogami wolno wnikał w jej ciało. Dawno temu nauczyła się ignorować swoje emocje. Nie widzieć nic poza najbliższym zadaniem do wykonania, które zwykle składało się z uporządkowania szeregu liczb wyświetlanych na ekranie komputera. Ten szereg mówił wszystko o sytuacji na rynkach finansowych. Lucy żyła i oddychała tym światem. Innego nie znała.

Z biegiem czasu więzień przyzwyczaja się do więzienia.

Jednak mając wolność w zasięgu ręki i widząc, że może ją zaraz stracić, poczuła ten sam lęk, który tłumiła w sobie całe życie. Latami zbierała się na odwagę, by zrealizować plan. Wiedziała, że nikt nie da jej drugiej szansy.

– Jestem córką Michaela Armstronga – powiedziała, mając nadzieję, że jej głos nie drży i brzmi stanowczo.

Recepcjonista patrzył na nią tym samym kamiennym wzrokiem. Dla niego nazwisko jej ojca znaczyło tyle co nic. Sądziła, że wszyscy pracownicy najsłynniejszego łowcy gangsterów wiedzą, kim jest jej ojciec.

Błąd?

Lęk piął się w górę do jej serca. Lucy miała wrażenie, że za chwilę utonie w zimnych falach strachu. Pamięć przywróciła jej obraz matki leżącej na dywanie w kałuży krwi. Trzymała córkę za rękę. Słyszała głos Kathy: „Obiecaj, że wytrwasz i kiedyś wyrwiesz się z rąk tego oprawcy. Uciekniesz i będziesz wolna. Pragnę, żebyś była szczęśliwa, kochanie… Nie skończyła tak, jak ja…”.

Lucy obiecała. Matka zmarła na jej rękach.

Obraz zniknął.

Nie poddawała się lękowi i skupiała się na tym, co robić. Myśl! Nie widziała wokół ochroniarzy Vincenza, ale wiedziała, że są gdzieś w pobliżu gotowi na każde skinienie szefa. Gdyby tylko spróbowała mu zagrozić, natychmiast wpadliby do gabinetu i odstawili ją za drzwi.

Ochroniarze de Santi słynęli w całym Londynie.

Może właśnie tak powinna zrobić?

Nagle ktoś z hukiem otworzył wielkie drzwi gabinetu znajdujące się z tyłu za recepcją.

– Do diabła z tobą! Skończysz w piekle, Vincenzo de Santi – usłyszała wzburzony głos starszego elegancko ubranego mężczyzny, który właśnie z nich wypadł i niemal biegiem ruszył do wyjścia.

Recepcjonista wstał, by go uspokoić.

Teraz, pomyślała.

Szybkim krokiem ruszyła w stronę otwartych szeroko drzwi.

Nikt jej nie zatrzymał.

Wbiegła do gabinetu, obróciła się i zatrzasnęła za sobą drzwi. Rozejrzała się wokół. Tu również panowała atmosfera luksusu. Ktoś, kto urządzał ten gabinet, nie liczył się z pieniędzmi. Podłogę pokrywał gruby ciemnoniebieski dywan. Ściany wyłożono boazerią ze szlachetnego drewna. Umieszczone w nich punktowe światła nadawały pomieszczeniu dyskretnie ciepłego wyglądu. Na półkach stały książki i szklane kasety z zabytkowymi przedmiotami. Naprzeciw drzwi pod ścianą stało ogromne dębowe biurko. Siedzący za nim mężczyzna patrzył wprost na Lucy.

Milczał.

Słyszała, jak głośno bije jej serce. Mijały minuty. Nie mogła wydobyć głosu. Jakby siedzący za biurkiem mężczyzna sprawił, że nagle oniemiała.

Miał na sobie ciemny szyty na miarę garnitur. Ale nie to dzieło krawieckiego kunsztu najpierw przykuło jej uwagę, lecz mocne i szerokie ramiona mężczyzny. Musiał być wysoki i wspaniale zbudowany. Nawet siedząc niedbale w wielkim fotelu z kostką jednej nogi opartą o kolano drugiej, wyglądał na uosobienie siły i władzy. Biła z niego pewność siebie typowa dla ludzi, którzy rządzą innymi, i głęboka determinacja zmieszana z pewną nonszalancką arogancją.

Ku własnemu zdziwieniu, Lucy nagle poczuła się bezpiecznie…

Miała rację, decydując się na ten ruch. Tylko ten człowiek może obronić ją przed ojcem. Nikt inny.

Vincenzo wciąż milczał i patrzył na nią ciemnymi, prawie czarnymi oczyma. Nie był bardzo przystojny, ale biła z niego potężna i niezaprzeczalna charyzma. Tkwiła w głęboko osadzonych oczach, mocnej linii szczęki, wysokich kościach policzkowych i prostym nosie. Arystokrata, który stał się krzyżowcem w krucjacie przeciw złu tego świata. Otaczająca go aura sprawiała, że nie sposób było nie ulec władczej sile tego mężczyzny.

Nadszedł czas realizacji drugiej fazy planu.

Ktoś nagle zaczął dobijać się do zatrzaśniętych drzwi.

– Panie de Santi! Dzwonię po ochroniarzy! – usłyszała za nimi krzyk recepcjonisty.

Nie zważając na nic, szybkim krokiem podeszła do biurka.

– Jestem Lucy Armstrong. Potrzebuję pana pomocy – wyrzuciła z siebie jednym tchem.

– Nie potrzeba, Raoul – odkrzyknął Vincenzo głębokim, chłodnym głosem.

Popatrzył na nią obojętnym wzrokiem bez cienia ciekawości, ale w jego oczach czaił się groźny błysk. Znowu poczuła strach. Tym razem przed tym

silnym mężczyzną. Życie nauczyło ją, że siła może oznaczać bezpieczeństwo, ale i groźbę. Krążyły pogłoski, że de Santi jest fanatykiem. Nikt i nic nie mogło go odwieść od pełnionej misji. Nie miał litości dla wrogów. Działał bezwzględnie. Wielu próbowało, ale nikt nigdy go nie przekupił.

A przecież Lucy jest jego wrogiem… Ścigał właśnie takich, jak ona…

Nie miała jednak wyjścia. Nie mogła pójść na policję, bo sama była przestępczynią. Wiedziano, że pracuje dla ojca, i policja szukała jej od lat. Vincenzo de Santi był jedynym człowiekiem, który mógł jej zapewnić bezpieczeństwo.

Był groźny, ale nie bardziej niż jej ojciec.

– Panie de Santi – zaczęła znowu – jestem…

– Wiem, kim jesteś – przerwał jej obojętnym i znudzonym tonem.

– Ach…

Lucy poczuła się kompletnie speszona. Jeśli wie, powinien być chyba bardziej… zaciekawiony. Pierwszy raz widzi córkę swojego największego wroga. Spodziewała się, że od razu skorzysta z jej obecności i zasypie ją pytaniami… Ale siedział tylko bez ruchu i patrzył na nią w milczeniu.

Przestąpiła nerwowo z nogi na nogę. Nie nawykła, by ktoś patrzył na nią takim wzrokiem, jakby na wylot prześwietlał ją promieniami rentgena. Zwłaszcza mężczyzna. Musiała jednak realizować plan i skupiać się na celu. Czas mijał. Siepacze ojca mogli wpaść lada chwila i wyciągnąć ją siłą, zanim zdążyłaby złożyć Vincenzowi swoją propozycję. Drżąca ręką poprawiła duże okulary na nosie i odważnie spojrzała mu w oczy.

– Jeśli wie pan, kim jestem, wie pan też, kim jest mój ojciec. Potrzebuję pańskiej ochrony. Sowicie za nią odpłacę…

– Rozumiem, ale dlaczego miałbym pani pomóc? – spytał, nie zmieniając tonu głosu.

Nie miała czasu odpowiadać. Musiała jak najszybciej powiedzieć mu o wszystkim.

– Wyjaśnię, jeśli się pan zgodzi. Ma pan może kwadrans, zanim wpadną tu ludzie mojego ojca i zaciągną mnie z powrotem do domu.

Vincenzo milczał. Splótł dłonie na brzuchu i od niechcenia przyglądał się Lucy. Jej uwagę przykuły jego długie palce. Jej ojciec uwielbiał obwieszać się złotymi sygnetami, a ten mężczyzna nie nosił żadnej biżuterii. Ascetyczny jak mnich, pomyślała. Ale mnisi na ogół nie mają tak błyszczących jak onyks oczu. Przypominał jej gotową do skoku wielką panterę.

Czas biegł coraz szybciej, a Lucy coraz trudniej panowała nad lękiem. Znów mocniej chwyciła ramiączko torby, niemal wbijając paznokcie w zaciśniętą dłoń. Lekki ból pomógł jej utrzymać lęk na wodzy. Swoim milczeniem Vincenzo chce pewnie wywołać w niej złość. Nie podda się jej. Ani panice. Zaszła już tak daleko, że nie pozwoli sobie na porażkę.

Nie upadnie.

Nagle wrócił do niej obraz umierającej w kałuży krwi matki. Chwilę przedtem próbowała chronić córkę przed gniewem ojca.

Lucy dotrzyma złożonej matce obietnicy.

– Proszę… – szepnęła. – Oddaję się w pana ręce i… zdaję na pańskie współczucie.

Vincenzo nie potrafił określić jej wieku, bo większość twarzy Lucy zasłaniały swobodnie opadające ciemne loki. Domyślał się jednak, że rozmawia z kobietą, nie dziewczyną. I to przerażaną, choć robiła wszystko, by nie okazywać strachu. Miała bardzo blady kolor skóry. Oczy za zbyt dużymi okularami o grubych szkłach, zdawały się jeszcze większe niż

w rzeczywistości. Nie mógł określić ich koloru. Może piwno-zielone… Ale nie był pewien, czy takie są naprawdę.

Milczenie było zazwyczaj użyteczną taktyką wydobywania informacji, które chciał uzyskać. Często się nim wspomagał, bo wiedział, że jego rozmówcy nie znoszą takiej martwej, przerażającej ciszy. Czuli się w niej nieswojo. Chcąc jak najszybciej wyjść z niezręcznej sytuacji, często – nawet nieświadomie – zdradzali mu swoje tajemnice.

Nie chciał jednak przesłuchiwać Lucy.

Przynajmniej – jeszcze nie.

– W moje ręce? Współczucie? – Vincenzo smakował te słowa, jakby dziwiąc się, że ktoś używa ich w stosunku do niego. – Jeśli szuka pani współczucia, trafiła pani pod zły adres.

Zaskoczyło go, że mimo przerażenia Lucy patrzyła mu prosto w oczy. Nie pamiętał, by jakakolwiek kobieta tak na niego patrzyła. Ludzie zazwyczaj unikali jego wzroku.

Wiedzieli, dlaczego.

Również i ona powinna. Jest przecież córką Michaela Armstronga!

Przez lata próbował wydać policji tego brutalnego szubrawca, ale ten wciąż unikał pułapek. Dwa stulecia temu rodziny mafijne walczyły ze sobą i prowadziły brutalną wojnę na wyniszczenie. Morderstwa były na porządku dziennym. Władze czasem nawet nie reagowały, cierpliwie czekając, aż przestępcy sami się wykrwawią.

Jednak w erze nowych technologii wojny toczono na innych polach. W internecie i na rynkach finansowych. W firmach krzakach i w rajach podatkowych. Liczyły się liczby i pieniądze.

Vincenzo wiele razy próbował rozbić lukratywne pralnie brudnych pieniędzy, jakie Armstrong prowadził na całym świecie, bo dzięki temu

mógłby szybko zlikwidować jego nielegalne imperium. Jednak Armstrong zawsze się wymykał. Vincenza zaczął nawet intrygować ten pojedynek.

Ojciec Lucy nie grzeszył subtelnością i błyskotliwością. Był prymitywnym i brutalnym gangsterem. Vincenzo wiedział, że Armstrongowi ktoś musi pomagać w omijaniu zasadzek zastawianych przez najlepszych na świecie ekspertów od przestępstw finansowych. Nie wierzył, że ten znany w całej Europie kryminalista jest bardziej inteligentny, niż sądzono. I był pewien własnej oceny – miał do czynienia z prymitywnym gangsterem, któremu ktoś pomagał prać kradzione pieniądze.

Podejrzewał nawet, kto…

Kobieta stojąca teraz przed biurkiem Vincenza.

W podziemnym świecie przestępczym Europy od dawna krążyły plotki o córce Armstronga. Że ojciec strzeże jej jak oka w głowie, bo Lucy ma w ręku klucz do sukcesu jego imperium. W świecie liczb i komputerów poruszała się z równą swobodą, jak jej rówieśniczki w świecie lalek i zabawek. Z łatwością odkrywała wszelkie cyfrowe ślady zostawiane w internecie, który nie miał dla niej żadnych tajemnic… Niebezpieczna kobieta…

Jednak ta, która stała teraz przed biurkiem Vincenza, wcale nie wyglądała groźnie. Przeciwnie. Była drobna i niewielkiego wzrostu. Jej ciało ginęło pod okropną, niemodną sukienką. Twarz zasłaniały okulary, które w dziwny sposób przykuwały uwagę Vincenza, tak jak urocze piegi na jej nosie.

Nie była to twarz groźna, lecz nieco pozbawiona wyrazu, choć nie wdzięku i uroku.

Dlaczego Lucy go szukała? Dlaczego jak pocisk wpadła do jego gabinetu? Ochroniarz zadzwonił do niego, gdy tylko weszła do domu

aukcyjnego. Ale wbrew swoim zwyczajom – zwykle takich gości natychmiast zatrzymywano – polecił, by ją wpuszczono.

Podskórnie czuł, że ta kobieta ma coś ważnego do powiedzenia…

Lucy podeszła jeszcze bliżej do biurka i oparła się dłońmi o jego brzeg. Jej twarz wyrażała zacięcie i determinację, które w innej sytuacji Vincenzo może by nawet podziwiał…

Ale nie teraz. Była wspólniczką Michaela Armstronga. Działała w jego przestępczym imperium. Może więc uda się ją wykorzystać i namówić, by zdradziła tajemnice ojca. Gdy gangster wyląduje w więzieniu, ona szybko do niego dołączy.

– Panie de Santi… – zaczęła ściszonym głosem.

– Bez obaw, pani Armstrong. Ludzie pani ojca nie przejdą nawet przez drzwi wejściowe. Mam najlepszych ochroniarzy w całym Londynie.

Nie przesadzał. Prowadził krucjatę przeciw największym przestępczym rodzinom w Europie i wiedział, że codziennie ktoś czyha na jego życie.

Vincenzo jednak nigdy nie uciekał. Próby zamachów uważał za dowód, że postępuje właściwie.

– Pan nie rozumie. On będzie…

– Nie – przerwał jej krótko.

Nie podnosił głosu i nie naciskał, ale jego obojętne i zimne jak lód słowa od razu docierały do Lucy.

– Nie będzie.

Zdziwiona otworzyła szeroko usta i szybko je zamknęła. Vincenzo nie mógł jednak nie zauważyć jej pełnych i miękkich warg.

– Proszę usiąść. – Skinieniem głowy wskazał jej stojące obok biurka krzesło.

Zmarszczyła czarne brwi, jakby chciała odmówić. Usiadła jednak, kurczowo trzymając w rękach torbę.

Wychylił głowę w jej stronę i zaczął uważnie przyglądać się Lucy. Wciąż była przerażona. Niemal czuł jej strach, a na strachu znał się lepiej niż ktokolwiek inny. Wiedział, co robi on z ludźmi i jak go używać do manipulowania nimi. Sam nie postępował w ten sposób, bo nie znosił takich metod. Był cierpliwy i pozwalał ludziom, by manipulowały nimi ich własne emocje. Dziwiło go tylko, że zawsze tak im ulegają.

Wiedział też, że to nie broń zabija, lecz strach. Albo nienawiść czy gniew. Lub miłość. Uczucia i emocje są groźniejsze od najgroźniejszej broni.

– Czemu pani tu przyszła? – spytał, przerywając milczenie. – Tylko proszę nie mówić, że liczy na moje współczucie, bo jego się pani nie doczeka.

Siedziała napięta i przerażona.

– Ale ludzie mojego ojca będą tu lada chwila…

Wiedziała, skąd ten strach. Ojciec nie wybaczy jej zdrady w samym gnieździe wroga.

Vincenzo spojrzał na monitor komputera. Lucy miała rację. Kilku siepaczy Armstronga już stało przed wejściem do domu.

Obrócił monitor w jej stronę.

– W prawym górnym rogu widzi pani bieżący przekaz z kamery przed budynkiem. Już są. Ale spokojnie, nigdy tu nie wejdą…

Wiedział, że niczego się od niej nie dowie, póki Lucy nie poczuje się bezpieczna. A przy okazji niech zobaczy, jak ochrona rozprawia się z siepaczami Armstronga. Vincenzo wcale nie jest mniej groźny.

Wpatrywała się w monitor nieruchomym wzrokiem, prawie nie mrugając ukrytymi za okularami oczyma. Wyglądała jak mała brązowa

sówka.

Sówka? Bardziej przerażona ptaszyna, pomyślał.

Dziwne skojarzenie. Vincenzo jednak nie oddawał się fantazjom. Nie żywił też współczucia do tej drobnej kobiety. Była narzędziem przestępczych działań ojca.

Nie wiedział, dlaczego pozwala jej oglądać, jak ochroniarze rozprawiają się z ludźmi jej ojca. Powinien od razu zadzwonić do szefa swojej ochrony, by przekazał Lucy brytyjskiej policji. Krucjata przeciw mafii nauczyła Vincenza jednego – natychmiastowe działanie jest najlepszym działaniem.

Jeśli jednak chciał dopaść Armstronga, córka gangstera mogła przydać się Vincenzowi na wiele sposobów. Nie musiał wzywać ochrony.

– Widziała pani? – zapytał.

Oderwała wzrok od monitora.

– Skąd pan wie, że ochroniarze dali radę? Ani razu nie spojrzał pan na monitor.

– Nie musiałem. Mój zespół to najlepsi ludzie. Pytam jeszcze raz: co pani tu robi?

Lucy ciężko westchnęła.

– Mówiłam, przyszłam, bo potrzebuję ochrony przed ojcem. Udało mi się uciec, ale on nigdy nie pogodzi się z tym, że jestem wolna. Będzie mnie ścigał do śmierci. Po całym świecie. Ktoś musi mnie przed nim obronić. Nie mam wyjścia.

– Więc mam szczęście – odparł drwiącym tonem. – Pewnie wie pani, kim jestem. Nie przypadkiem chciała się pani tu ukryć?

Spojrzała na niego oburzona.

– Oczywiście, że wiem. Drobiazgowo zaplanowałam ucieczkę i… pańską w niej rolę. Jest pan największym wrogiem ojca. Ma ogromne

środki i wielkie możliwości. Słynie pan z determinacji. Nic nie jest pan winien mojemu ojcu. Nie można pana kupić. Dlatego idealnie pasuje pan do mojego planu.

Lucy dobrze odrobiła lekcję. Zaskoczyło ją nawet, że mówi z taką swobodą.

– Nie pasuję tak idealnie, jak pani myśli – odparł stanowczym tonem. – Co mi przeszkadza wydać panią policji? Jest pani wspólniczką wielu przestępstw i dobrze wie, że moją misją jest szybkie stawianie przed sądem takich ludzi jak jej ojciec.

– Nie jestem taka jak on – zaprzeczyła gwałtownie.

– Ale od lat pomaga mu pani w oszustwach.

Lucy zbladła. Bladość jej twarzy jeszcze bardziej uwydatniła piegi na nosie i podkówki pod oczyma.

Ptaszyna była teraz śmiertelnie przerażona.

Vincenzo słynął z bezwzględności. Wielu twierdziło nawet, że jest okrutny. Zgadzał się z obiema opiniami. Jego świat był do bólu światem czarno-białym. Nie mogło być inaczej. Głębokie poczucie misji nie pozwalało mu roztrząsać zbędnych moralnych dylematów czy szukać odcieni szarości. Każdego, kogo wyśledził, przekazywał policji. O winie czy niewinności rozstrzygał później sąd. Dlatego mówiono, że jest bez serca.

Ale Vincenzo nie zawracał sobie głowy tym, co myślą inni i jak oceniają jego czyny. Robił swoje.

Jednak teraz, patrząc na siedzącą przed nim skuloną ze strachu młodą kobietę, odczuwał coś, czego nie umiał nazwać. Litość…? Współczucie…?

Niemożliwe. Takie uczucia były mu obce.

Lucy uniosła dumnie głowę, jakby nagle stanęła przed plutonem egzekucyjnym.

– Ma pan rację. Jestem wspólniczką. Ale więźniowie nie mają wolnego wyboru. Zwłaszcza, gdy nieustannie ktoś im grozi. Nie znają luksusu odmowy. Nieważne, czy mi pan wierzy. Proszę tylko obiecać, że nie wyda mnie pan ojcu.

– Czemu miałbym cokolwiek obiecać? – spytał obojętnym tonem.

Spojrzała na niego z jeszcze większą dumą i determinacją.

– Bo tylko ja mogę przekazać wszystkie informacje potrzebne, by wsadzić mojego ojca do więzienia.

ROZDZIAŁ DRUGI

Przez większość życia Lucy znała tylko poczucie lęku i zdążyła do niego przywyknąć. Jednak siedząc przed Vincenzem, odczuwała lęk, jakiego przedtem nie znała.

Nie mogła zrozumieć, dlaczego.

Ochroniarze domu aukcyjnego szybko i sprawnie rozprawili się z siepaczami Armstronga. Nie powinna więc niczego się bać. A jednak się bała – już nie ojca, lecz siedzącego naprzeciw niej mężczyzny.

Vincenzo wciąż siedział rozparty wygodnie na fotelu w obojętnej i znudzonej pozie, lecz jego oczy świeciły jak dwa ognie. Ani na chwilę nie spuszczał wzroku z Lucy. Nie spodziewała się, że wprost wypomni jej przestępstwa, których się dopuszczała. Przynajmniej – nie od razu. Nie chciała jednak myśleć o tym, do czego zmuszał ją ojciec. Miała wprawę w odsuwaniu od siebie kłopotliwych myśli i uczuć. Łatwiej było odkładać je na później.

Jednak w tym wypadku później zmieniło się w teraz. Nie mogła zaprzeczyć, że Vincenzo miał rację, wypominając jej współudział w przestępstwach ojca. Powiedziała jednak prawdę – nie miała wyboru. Mogła tylko robić to, co kazał jej ojciec, lub nieustannie żyć w cieniu jego zemsty. Pamiętała słowa matki: „musisz przetrwać”.

I to było jedynym celem Lucy.

Może kiedyś poniesie karę za to, co robiła, ale najpierw zrobi wszystko, by ojciec znalazł się w więzieniu. Choćby miała to być ostatnia rzecz, jakiej

dokona.

Jednak jej lęk nie płynął z poczucia winy, lecz z czegoś nieokreślonego, co czuła w samym Vincenzu. W jego przenikliwym i ostrym jak sztylet spojrzeniu. O mężczyznach wiedziała tyle, co nic. Ojciec przetrzymywał ją w całkowitym odosobnieniu w Kornwalii. Przez całą dobę każdy jej ruch śledziła ochrona. Miała tylko kilku przyjaciół online, ale korespondując z nimi, starannie ukrywała i usuwała wszelkie ślady własnej tożsamości. Była anonimowa. W prawdziwym życiu widywała tylko barczystych i wiecznie milczących ochroniarzy. Trzymała się od nich z daleka, bo ich widok tylko pogłębiał jej lęk. Prowadziła nieskończenie samotne życie. Lucy jednak nie dopuszczała do siebie tej myśli. Broniła się przed nią, jak mogła. Nie chciała widzieć krat celi, w jakiej ją zamknięto. Zaprzeczała, że kroczy po cienkiej linie. Że żyje tylko dlatego, że jest ślepym narzędziem w rękach ojca. Każdy wybuch jego gniewu mógłby się skończyć dla niej śmiercią.

Jak dla Kathy…

Zawsze skupiała się tylko na tym, co było do zrobienia. Nie rozglądała się na prawo i lewo. W żadnym kierunku. Inaczej straciłaby równowagę i skończyła jak matka.

Utkwiła wzrok w Vincenzu, ignorując nowy i nieznany jej lęk, jaki wzbierał w całym jej ciele i wzbudzał coraz mocniejsze bicie serca.

– Przekaże mi pani wszystko, co ma na ojca – powiedział tonem, jakby mówił o czymś najzwyklejszym pod słońcem. – Natychmiast – dodał.

Spojrzała na niego uważniej.

– A wtedy pan przekaże mnie policji?

– Jasne – odparł.

Podniósł ręce, a delikatny materiał marynarki uwydatnił jego umięśnione ramiona i barki.

– Wyobrażam sobie, jacy będą szczęśliwi…

Na pewno. Ale Lucy nie miała zamiaru znaleźć się na posterunku. Nie po to latami czekała na okazję do ucieczki, by teraz znaleźć się w innym więzieniu. Nie tego pragnęła dla niej matka.

Jednak zasługujesz na więzienie…

Ta myśl sama przemknęła jej przez głowę.

Zawsze broniła się przed tą wiedzą, nie dociekając, skąd właściwie pochodzą pieniądze ojca, bo odkryłaby rzeczy, które uczyniłyby jej życie jeszcze większą katorgą. Po prostu robiła, co jej kazano. Dzięki jej geniuszowi część jego ogromnych pieniędzy zasilało konta w rajach podatkowych. Pozostałe inwestowała w legalne przedsięwzięcia. Dzięki niej aktywa bankowe ojca rosły z dnia na dzień.

Chodziło jej tylko o przeżycie. Wszyscy chcą żyć.

Za to ma teraz skończyć w celi?

Bo nawet dziecko wiedziałoby, że Vincenzo de Santi nie odpuści. Widziała to w jego hipnotyzującym i władczym wyrazie twarzy. Był zarazem jej sędzią i ławą przysięgłych. Oczyma wyobraźni widziała go nawet jako naczelnika więzienia.

Mocniej zacisnęła dłonie na torbie, gdzie spoczywał jej laptop ze wszystkimi informacjami, jakich żądał Vincenzo… Ale bez kodów, bez których nikt nie otworzy komputera. Znała je tylko ona i trzymała w głowie, jak największy skarb.

– Kiedy chciałby pan oddać mnie w ręce policji?

Z trudem patrzyła mu prosto w oczy, wytrzymując jego spojrzenie. Musiała zapytać, bo wciąż miała cień nadziei, że Vincenzo jednak tego nie zrobi. Że pomoże jej zniknąć. Rozpłynąć się jak we mgle… może gdzieś w Ameryce. Z dala od ojca.

Śmierć matki nie poszłaby na marne.

– Przekaże mi pani wszystkie informacje. Wtedy zawiadomię władze. Może nawet dzisiaj. Im prędzej pani to zrobi, tym szybciej wsadzę pani ojca do więzienia. Na zawsze.

Myślał, że tymi słowami doda jej odwagi, ale był w błędzie.

– To pani nie odpowiada, prawda? – zapytał.

Musiał ją zdradzić jej wyraz twarzy. Jak dostrzegł, co przeżywała? Nikt nigdy nie zauważał jej emocji.

– Przykro mi, ale powinna pani wiedzieć, że nie interesuje mnie los przestępców. Nie mam w sobie współczucia.

Nie doceniła Vincenza. Sądziła, że może potraktuje ją jak nieważnego pionka w grze. Że jego głównym celem jest Michael Armstrong, więc pozwoli jej odbyć pokutę gdzieś daleko i bez ciągłego strachu.

Była jednak tak skupiona na własnym planie, że nie wzięła pod uwagę żelaznej woli, z której słynął siedzący naprzeciw mężczyzna.

Wiedziała, że nie może myśleć o tym, co zrobi Vincenzo. O celi, w której spędzi najbliższe lata. Sama z nieodłącznym lękiem, który całe życie szedł za nią jak cień. Ani o matce umierającej w kałuży krwi i błagającej ją, by nigdy nie skończyła tak, jak ona.

Musiała myśleć tylko o tym, co zrobić, by zmienił zdanie.

– Przekazanie wszystkich informacji zajmie trochę czasu. Nie mam jeszcze wszystkich danych. Powiedzmy: tydzień? – powiedziała, zmuszając się, by patrzeć mu w oczy.

– Tydzień? – Jego głos zabrzmiał w jej głowie głośnym echem. – Proszę wybaczyć, ale wiem, co pani potrafi. Gdyby pani chciała, dostałbym je w minutę.

– Ale nie chcę – odparła zaskoczona własnym stanowczym tonem. – Tydzień, panie de Santi! Dostanie pan wszystko, by nie tylko wsadzić go do więzienia, ale i zniszczyć całe jego imperium.

Zmrużył oczy i spojrzał na nią ostrym jak sztylet wzrokiem.

– Czemu miałbym czekać tak długo? Mogę sprawić, że za chwilę powie mi pani wszystko, co chcę wiedzieć.

– Może mnie pan torturować, ale nic panu nie dam – zdobyła się na odwagę.

– Skąd myśl, że wytrzyma pani tortury? – zapytał, patrząc na nią rozbawionym wzrokiem.

Właśnie. Nie myślała o tym, czy umiałaby je wytrzymać. Ale przecież wątpiła też, by dała radę uciec od ojca. Jednak się udało. Wszystko jest więc możliwe.

– Mam wysoki próg bólu – odparła.

Mówiła prawdę. Miewała straszne bóle migrenowe, a ojciec nigdy nie pozwalał jej brać środków przeciwbólowych.

– Może mi pan wbijać igły pod paznokcie, ale i tak niczego nie powiem.

Wyraz jego twarzy wciąż świadczył o rozbawieniu.

– Igły… hm… – mruknął pod nosem. – Ciekawa opcja, ale wystarczy, że zabiorę pani laptop. Nie muszę stosować tak drastycznych metod.

– To nic nie da. Wszystkie informacje są zaszyfrowane, a kody dostępu znam tylko ja.

Czuła, jak jego ostre spojrzenie niemal wnika w jej skórę, ale zacisnęła zęby i nie odwróciła wzroku. Nie znała mężczyzn, ale wiedziała, że silni mężczyźni lubią sprawdzać swoją siłę na innych. Tak postępował jej ojciec. Zarówno wobec własnych ludzi, jak i wrogów. Sprawiało mu to nawet sadystyczną przyjemność.

De Santi był pewnie taki sam. Niech sprawdza, czy potrafi złamać jej determinację, a Lucy zyska trochę cennego czasu. Może zmieni zdanie i nie przekaże jej policji.

Zwykle świadomie nikomu nie rzucała się w oczy. Jednak dziś musiała postąpić inaczej, bo Vincenzo szybko zauważyłby jej lęk i słabość. Nie była silną kobietą, ale musiała pokazać determinację. Stała nad krawędzią.

– Nie zmusi mnie pan do niczego. Nie boję się.

Pochylił głowę w jej stronę. Jego ocienione długimi rzęsami oczy błyszczały groźnym blaskiem.

– Jestem pewien, że mogę. Łamałem nie takich, jak pani. Jedna drobna kobieta to przy nich żaden problem.

Nie wiedziała, czy drwi, czy mówi poważnie. Nie mogła odczytać wyrazu jego kamiennej twarzy ani utkwionych w niej oczu. Vincenzo ją przerażał, ale w jego obecności rozpływał się też jej strach przed ojcem.

Czuła się dziwnie bezpieczna…

– Proszę spróbować. Nie boję się pana.

– Owszem, boi się pani – powiedział zimnym głosem. Patrzył na nią bez cienia współczucia. – Przerażam panią – dodał.

Spojrzała na niego gniewnym wzrokiem. Otworzyła usta, by zaprzeczyć, ale Vincenzo ją ubiegł.

– Kłamie pani. Wyczuwam kłamstwo na odległość. Kiepsko to pani idzie.

Zagryzła niepewnie wargi. Vincenzo nie wiedział, dlaczego nagle utkwił w nich wzrok. Były pełne i delikatne. Lubił usta kobiet, ale tylko wtedy, gdy dawały mu fizyczną przyjemność. Inaczej w ogóle ich nie zauważał. A już na pewno nie u kryminalistek, które też zdarzało mu się wsadzać do więzienia.

Kobiety traktował instrumentalnie. Spotykał się z nimi tylko wtedy, gdy chciał i potrzebował seksu. Nie ulegał kaprysom własnego ciała. Był zresztą zbyt zajęty. Tylko w tym miesiącu postawił przed sądem ostatnich członków znanego francuskiego gangu narkotykowego. Jego ciało mogło

protestować, ale w przewrotny sposób lubił te ćwiczenia z samokontroli. Dzięki nim ani na chwilę nie tracił czujności. Wolał też bardziej zadbane kochanki niż siedząca naprzeciw kobieta o potarganych włosach… i sukience dalekiej od elegancji, do jakiej przywykł u kobiet, z którymi się spotykał.

Zresztą nie zadawał się z przestępczyniami. Zwłaszcza takimi, które zarzucały mu chęć torturowania, czego nigdy nie robił. Nigdy nie stosował takiej samej taktyki, jakie wieki temu stosowała jego własna rodzina, bo nawet gdyby chciał – nie musiał. W zbieraniu informacji jego ludzie byli najlepsi na świecie. W większości wypadków nawet nie spotykał się ze swoimi ofiarami twarzą w twarz. Gromadził dowody i informacje, przekazywał je policji, a ta wykonywała resztę roboty.

– Więc…? – Lucy wróciła do rozmowy, wciąż patrząc mu w oczy. – Da mi pan tydzień czy nie?

– Dlaczego powinienem? Mogę zabrać pani laptop i dać go swoim fachowcom. Złamią każde zabezpieczenie…

– Nie moje. Tylko ja mogę je ujawnić – przerwała.

Poczuł irytację. Nie nawykł, by ktoś mu przerywał. Zwłaszcza ktoś, kogo zamierzał oddać w ręce policji. A jeszcze bardziej, gdy robiła to drobna kobieta, która się go bała, ale bez wahania stawiała mu czoło.

Intrygowało go to… Świadczyło o jej odwadze. Chyba że była bardziej nierozsądna, niż sądził z początku. Nie. Kobieta, której udało się uciec od brutalnego mafijnego watażki, nie może być głupiutką naiwniaczką.

– Więc powinno być pani obojętne, czy moi eksperci przejrzą laptop.

– Każda próba złamania zabezpieczeń bez właściwego hasła skończy się automatycznym usunięciem danych. Jeśli tego chcecie, proszę bardzo.

Odczuwał coraz większą irytację, ale i zaciekawienie, które starał się ignorować. Korciło go, by zapytać, jak udało jej się uciec. Dlaczego

przyszła do niego i myśli, że ją ochroni? Musiała wiedzieć, że wyda ją policji. Mógł dać jej ten tydzień i później oddać w ręce sprawiedliwości, a w tym czasie zaś uzyskać wszystkie informacje o Armstrongu. Ale mógł też uzyskać od niej coś więcej. Jeśli dzięki jej geniuszowi ojcu udawało się unikać wszystkich pułapek zastawianych przez Vincenza, to dlaczego nie wykorzystać Lucy do wyłuskania innych gangsterów? Lista była długa. Czy sam nie zatrudniał w swojej sekcji IT hakerów, by dbali o całkowite bezpieczeństwo najbardziej wrażliwych danych? Wykorzystać kryminalistkę do ścigania kryminalistów… To byłoby coś!

Vincenzo był cierpliwym człowiekiem. Tydzień to nic.

Grał na czas. Wpatrywał się w nią, stukając palcami o poręcz fotela. Odwracał jej uwagę.

Lucy siedziała skulona i wciśnięta w krzesło. Głowę wkuliła w ramiona, jak ptak szukający schronienia pod własnymi skrzydłami.

Rozumiał jej lęk. Michael Armstrong słynął z okrucieństwa, które traktował jak najzwyklejszą rzecz pod słońcem. Krążyły pogłoski o jego pierwszej żonie i jej nagłej śmierci. Takie plotki wzmacniały tylko determinację Vincenza, by wsadzić tego bezwzględnego kryminalistę za kraty. Nie żywił żadnych sentymentalnych uczuć wobec kobiet. Wiedział, że potrafią być tak samo okrutne, jak mężczyźni, ale gardził fizycznym okrucieństwem. Dla niego stanowiło oznakę słabości. Nie miał cienia wątpliwości, że Armstrong jest jednym z tych słabych, którzy muszą je stosować, by wzbudzać posłuch wśród ludzi. Czy był też okrutny wobec Lucy? Dlatego siedzi teraz skulona na krześle, jakby się chciała stać niewidocznym krasnoludkiem? Dlatego boi się samego Vincenza?

Skąd jednak takie myśli? Jest przecież córką gangstera i przestępczynią. Teraz mogłaby się stać narzędziem w rękach samego Vincenzo.

Tak, ta ptaszyna bardzo się boi. Jego samego.

Mimo to patrzy na niego bacznym i skupionym wzrokiem, jakby był czającą się na nią panterą. Ale w jej oczach widział też upór i ducha walki kobiety, która się nie podda. Ciekawe połączenie. Po raz pierwszy intrygował go ktoś, kogo chciał postawić przed sądem.

Vincenzo szybko się otrząsnął.

– Odważna z pani kobieta. Jestem pod wrażeniem. Moi eksperci mogą złamać zabezpieczenia lub nie, ale nie jestem w nastroju, by czekać czy im się uda. Proponuję układ.

– Jaki?

– O pani zdolnościach krążą legendy. Mógłbym je wykorzystać nie tylko w sprawie pani ojca. Takich jak on jest mnóstwo i wszyscy zasługują na wyroki. Pani mogłaby mi w tym bardzo pomóc.

Znów przygryzła wargi. Były czerwone i pełne. Bezbronne, miękkie usta. Nie wiedział, dlaczego znów o nich pomyślał. Nie powinien nawet ich zauważać!

– Czemu miałabym panu pomagać? – odparła, śmiało prostując się na krześle. – Pomogę tylko w sprawie ojca. Nic więcej.

– Obawiam się, że nie ma pani wyboru – odparł stanowczym i zimnym głosem. – Jeśli chce pani tygodnia przed pójściem do aresztu, to tylko na moich warunkach. Zostanie pani pod moją opieką i będzie robić wszystko, co każę. Taka jest cena. Jeśli nie, ochrona natychmiast odwiezie panią na policję.

– Ale bez mojej pomocy nie wsadzi pan ojca do więzienia.

Widział gniew w jej ukrytych za wielkimi okularami oczach.

– Wsadzę, tyle że zajmie mi to więcej czasu. Pani pomoc przyśpieszy jego aresztowanie, ale nie jest konieczna.

– Skąd więc pańska propozycja?

Przyznawał w duchu, że jest bystra i inteligentna. Naprawdę nie potrzebował żadnego układu. Mógł z nią zrobić, co chciał, bo był górą. Ale gdyby zrobił, okazałby się takim samym szubrawcem, jak ci, których ścigał. Nigdy nie stosował takiej taktyki.

– Bo choć pomoc nie jest konieczna, to może się pani okazać użyteczna. Narzędzie tylko wtedy się przydaje, gdy nikt go nie uszkodzi. Proszę mi wierzyć, że nie chcę pani złamać.

– Ale jednak użyć do swoich celów.

W jej głosie brzmiała rezygnacja świadcząca, że dobrze zna takie sytuacje.

Bo znała. Dla niego była takim samym narzędziem, jak dla ojca. Vincenzo był tego świadom, ale nie zaprzątał sobie tym głowy. Stawka była zbyt wysoka. Stare rodziny przestępcze były jak rak, który toczył Europę. Kontynent gnił od środka. Korumpowały wszystkich. Ślad tej korupcji tkwił w samym Vincenzu. Nie był od niej wolny. Znał historię własnej rodziny i przestępstw, jakich dopuszczała się przez wieki.

Ale przynajmniej teraz robił wszystko, by powstrzymać falę korupcji. Był jak chirurg, który chce usunąć całą komórkę rakową tak, by nie nastąpiły przerzuty.

– Chcę wykorzystać pani doświadczenie i wiedzę. Jeśli pragnie pani tygodnia wolności, musi pani za niego zapłacić. To mój warunek.

– Jak mam rozumieć tą wolność? Przecież mnie pan nie puści.

– Racja.

– Danie mi prawdziwej wolności oznaczałoby, że zostanę zupełnie sama i bezbronna. Wtedy moje spotkanie z panem nie miałoby sensu. Nie chciałabym znaleźć się w celi. Mój ojciec więził mnie domu w Kornwalii pod okiem tłumu ochroniarzy. Mogłam wychodzić tylko do ogrodu. Nasza rezydencja leży nad brzegiem oceanu, ale go z niej nie widać. Mogłam

tylko słuchać szumu fal. – W jej głosie słyszał z trudem tłumione emocje. – Chcę w końcu zobaczyć fale… Wodę… Śmieszne, ale chyba nigdy nie widziałam oceanu, a mieszkamy na wyspie.

Wolno odchylił się na fotelu. Dziwna kobieta. Uciekła od ojca, zdała się na łaskę nieznajomego, a potem mimo lęku zażądała jego ochrony tylko po to, by z nutą nostalgii w głosie mówić o oceanie, którego nigdy nie widziała.

Udaje? Nigdy nie wiadomo. Tacy ludzie kłamią jak z nut i używają wszelkich emocjonalnych sztuczek, by dopiąć swego. Przecież już mimowolnie pomyślał o jej ustach i jedwabistej skórze… Nigdy by się o to nie podejrzewał. Nie podczas rozmowy z kryminalistką. Spotykał kobiety, które próbowały go uwodzić, by zbliżyć się do niego i zmanipulować. A nawet zabić. Kobiety, które nie wiedziały, że takie tanie sztuczki na niego nie działają. Nikt nie mógł manipulować Vincenzem ani jego uczuciami i emocjami.

Bo ich nie miał. Nauczył się nie mieć.

Tę trudną lekcję zawdzięczał temu, co zrobiła mu matka. Ale taką samą wkrótce odrobi i Lucy.

Myślał o tym, co ma zrobić z siedzącą naprzeciw kobietą. Naprawdę była tak niegroźna, jak wyglądała, czy przeciwnie – znacznie bardziej niebezpieczna?

– Więźniowie nie wybierają sobie cel – powiedział po chwili milczenia. – Inaczej nie byliby więźniami.

Ściągnęła brwi.

– Wiem, co znaczy być więźniem. To za dużo prosić o tydzień normalnego życia?

– Normalnego życia? Tego pani oczekiwała, przychodząc do mnie? Że pozwolę pani odejść? Ot tak?!

Vincenzo pstryknął palcami.

– Tak. Miałam nadzieję, że jeśli przekażę potrzebne informacje, pomoże mi pan… zniknąć…

– Zniknąć?

– Wyrobi nową tożsamość… Pomoże dostać się do Ameryki lub gdzieś indziej. Jak najdalej od ojca, gdzie nikt mnie nie znajdzie.

Przez chwilę patrzył na nią zupełnie zaskoczony. Naprawdę myślała, że jej pomoże? Jest bardzo naiwna albo tak samo arogancka. Może jedno i drugie.

Ten obraz mu do niej nie pasował.

Ale może mówi prawdę i rzeczywiście myślała, że jej pomoże?

Naiwna jak dziecko. Nie pomagał ludziom, lecz oddawał ich w ręce sprawiedliwości. Jeśli sądziła, że jest inaczej, srodze się myliła. Vincenzo nie znał litości.

– Obawiam się, że panią zawiodę. Mówiłem, że nie lituję się nad przestępcami. Źle mnie pani słuchała.

Wstał z fotela i omijając biurko ruszył do drzwi.

Śledziła go szeroko otwartymi oczyma, sztywniejąc ze strachu.

Vincenzo tłumił w sobie dziwne uczucie, które nagle się w nim pojawiło.

Współczucie? Litość?

Nigdy.

Otworzył drzwi.

– Raoul, wezwij ochronę. Pani jedzie na policję.

ROZDZIAŁ TRZECI

Lucy drgnęła. Areszt.

Kilka razy w życiu buntowała się przeciwko ojcu. Zawsze reagował tak samo. Była zbyt cenna, by ją zabić czy okaleczyć, więc zaciągał ją na dół ich domu w Kornwalii i zamykał w najmniejszym pomieszczeniu bez okien, gdzie panowała zupełna ciemność. Nigdy nie wiedziała, jak długo tam będzie. Ale zawsze trwało to wieczność.

Bała się ciemności. Nienawidziła tej celi. Gdy tylko ją z niej wypuszczał, tuliła uszy po sobie i robiła, czego żądał. Tresura przyniosła skutek.

Lucy zapomniała o buncie.

Myślała, że gdy uda jej się uciec, nigdy już tam nie wróci.

Vincenzo de Santi zawsze był dla niej niewiadomą. Czytając o nim w internecie, uwierzyła, że jest moralnym człowiekiem, który poświęcił życie ściganiu przestępców. Dlatego przyjechała wprost do niego.

Jednak prawdziwe życie ma niewiele wspólnego z wirtualnym.

Krążące o Vincenzu pogłoski pasowały do niego jak ulał. Był zimny, bezlitosny i nieprzekupny. Na próżno ktoś szukałaby w nim śladu współczucia.

Stał teraz przy drzwiach. Wysoki, władczy i silny. Ale było w nim też dziwne brutalne piękno, które mimo strachu samo rzucało jej się w oczy.

Nie była odważna. Nie była jak jej matka.

Była ulepiona z lęku, a ten uczynił ją naiwną. Żyła myślą, że informacje, które posiadała, będą dla Vincenza warte więcej niż ona sama. Więcej niż ciężar jej własnych przestępstw.

I pozwoli jej zniknąć.

– Proszę… – powiedziała błagalnym i pozbawionym nadziei szeptem. – Tylko nie areszt.

Jej matka nie błagała i nie znała strachu. Stanęła między nią a rozwścieczonym ojcem i przyjęła cios, który miał spaść na córkę.

Lucy mogła tylko marzyć o takiej odwadze i sile woli…

W drzwiach stanęło dwóch ubranych na czarno ochroniarzy. Nie miała szans na ucieczkę. Nigdy ich nie miała. Całe życie tkwiła w sidłach, jak ranne zwierzę. Lęk nie opuszczał jej ani na chwilę. Rozlewał się w niej zimną falą. Paraliżował. Oczyma wyobraźni już widziała ciemną piwnicę. Słyszała zgrzyt ciężkich żelaznych drzwi. Ochroniarze ruszyli w jej stronę. Obejmowała ją ciemność i owijała jak zimnym kocem. Chciała krzyknąć, ale nie mogła otworzyć ust ani nabrać powietrza. Lucy opadała w czarną nieskończoną otchłań…

– Oddychaj! Oddychaj! – Jak przez grubą warstwę waty słyszała głęboki, mocny głos.

Ten głos łamał bariery. Nie znosił oporu. Wiedziała, że musi go posłuchać. Nabrała powietrza, jakby chciała odepchnąć ogarniającą ją ciemność. Mdlała. Było jej zimno. Drżała na całym ciele. Nie czuła palców stóp.

– Oddychaj! Oddychaj – powtarzał głos.

Lucy wciąż drżała, ale teraz czuła na sobie coś ciepłego, jakby ktoś okrywał ją miękkim, grubym kocem. To ciepło sprawiło, że przestała się trząść. Mieszało się z zapachem cedru i drzewa sandałowego. Mocno

obejmowały ją czyjeś silne ramiona. Mogła przysiąc, że czuje mocne i miarowe bicie czyjegoś serca. Zaczęła oddychać razem z tym rytmem.

Wracała z nicości.

Jej ciało powoli się rozluźniało. Czuła, że dłonie i stopy znów stają się ciepłe. Wszystko wciąż nurzało się w ciemności, ale tym razem dlatego, że wciąż miała zamknięte oczy.

Dopiero teraz doszło do niej, że obejmuje ją mężczyzna. Że ciepło, które czuła, jest ciepłem jego ciała. Tkwiła w jego objęciach.

Paniczny lęk powoli odchodził. W ramionach tego mężczyzny czuła się bezpieczna. Od śmierci matki nie miała poczucia bezpieczeństwa. Zapomniała już, jak bardzo jest ono potrzebne do życia. Przylgnęła do mężczyzny, jakby chciała pozostać w jego ramionach na zawsze. Bała się oddychać, aby to wspaniałe uczucie nie znikło.

Powoli odzyskiwała świadomość, gdzie jest i co się stało. Kim jest obejmujący ją tak mocno mężczyzna.

Otworzyła oczy.

Vincenzo de Santi.

Siedziała na sofie w tym samym luksusowo urządzonym gabinecie, do którego przyszła, na kolanach mężczyzny, który przedtem chciał odesłać ją do aresztu. Mężczyzny o ciemnych oczach i twarzy rycerza-anioła.

Opierała głowę na jego piersi. Nie miała na nosie okularów, ale i bez nich rozpoznawała jego oczy i twarz.

Musiała przeżyć atak paniki. Co za upokorzenie!

Po chwili dostrzegła dwóch ubranych na czarno ochroniarzy.

Znów oblał ją zimny strach. Kurczowo chwyciła Vincenza za koszulę, jakby tylko on mógł ją uratować. Chciała wstać, ale nogi odmawiały jej posłuszeństwa.

– Wyjdźcie! – usłyszała rozkazujący głos Vincenza.

– Oddychaj! – powtórzył. – Musisz rozluźnić mięśnie.

Czuła ciepło jego ciała. Jedwab drogiej koszuli przyjemnie pieścił jej policzek. Jej oddech powoli się wyrównywał.

Od śmierci matki nikt jej tak nie obejmował i nie przytulał. Na pewno nie mężczyzna. Wszyscy są tacy ciepli… I twardzi… Miała wtedy siedem lat… Szmat czasu.

– Co się stało? Zemdlałam? – szepnęła.

– Tylko na chwilę.

– Dlaczego pan mnie obejmuje?

– Jestem Vincenzo, Lucy. Drżałaś i byłaś zimna. Zdjąłem ci okulary, żeby się nie rozbiły.

– A mój laptop? – spytała przerażona.

– Jest w twojej torbie.

Lucy znów zamknęła oczy. Nagle opadło ją śmiertelne zmęczenie. Od rana, gdy się obudziła, działała tylko na adrenalinie. Atak paniki wyczerpał resztki jej energii.

Teraz tkwiła w ramionach wroga i pragnęła tylko jednego – zasnąć.

Jesteś żałosna, pomyślała. Weź się w garść.

Zmuszała się, by pokonać własne zmęczenie.

– Często miewasz ataki paniki? – spytał po chwili milczenia.

– Nie – odparła.

Mówiła prawdę. Przeżywała je kilka razy, gdy na próżno buntowała się przeciw ojcu. Później jednak przestała i wrócił jej zwykły spokój. Wiedziała jednak, że jest to pozorny spokój więźnia.

– Czemu tak się boisz myśli o celi w areszcie?

Nie chciała, by Vincenzo poznał głębię jej strachu. Ale przyszło jej na myśl, że gdyby poznał, to może okazałby współczucie i nie oddał jej w ręce policji.

– W naszym domu w Kornwalii był mały pokoik w piwnicach. Zupełnie ciemny. Bez okien. Ojciec czasem mnie w nim zamykał, gdy nie chciałam robić tego, co kazał.

Na to wspomnienie przeszył ją dreszcz. Vincenzo znów objął ją mocniej.

– Często się buntowałaś?

Jako dziecko była ciekawym świata odważniakiem. Wszystko robiła na przekór, co złościło ojca. Matka broniła ją przed napadami jego gniewu aż do czasu, gdy dłużej już nie mogła. Wtedy Lucy zrozumiała, jak bardzo matka ją ochraniała.

– Czasem, ale później już nie tak często…

– Aż postanowiłaś uciec?

– Tak. Zdobyłam się na odwagę.

W jego ciepłym objęciu zupełnie opadło z niej napięcie. Było jej dobrze. Jak ten zimny mężczyzna, może być jednocześnie tak ciepły?

– Czemu jesteś taki ciepły? Jesteś chory?

Spojrzał na nią uważnie.

– Skąd. Nie martw się o mnie. Wciąż czujesz się słabo? – odpowiedział pytaniem na pytanie.

Delikatnie zsunął ją z kolan i pomógł usiąść przy nim na sofie. Czuła ciepło jego ciała, ale teraz zabrakło jej jego silnych ramion. Nie rozumiała, dlaczego. Nagle poczuła się zupełnie bezbronna. Miała nadzieję, że Vincenzo tego nie zauważy.

I chyba nie zauważył, bo podszedł do biurka, podniósł z blatu jej okulary i podał Lucy. Natychmiast je założyła.

Splótł dłonie i patrzył na nią przenikliwym wzrokiem.

Chciała wstać, ale nie była pewna, czy utrzyma się na nogach. Podniosła więc tylko wysoko głowę.

– Wydasz mnie policji? – spytała.

– Jeszcze nie wiem – odparł.

Odważnie spojrzała mu prosto w oczy. Matka zawsze uczyła ją odwagi.

– Jeśli tak, to będziesz musiał mnie odurzyć lub pozbawić przytomności, bo z własnej woli nie pójdę.

– Tyle już wiem – odpowiedział.

Nie spuszczał z niej wzroku. Po chwili wyciągnął z kieszeni telefon komórkowy. Wybrał numer i zaczął mówić coś po włosku.

Poczuła dreszcz niepokoju.

Już dawno mógł wezwać policję, ale zamiast tego pomógł jej dojść do siebie. Może nie jest aż tak pozbawiony litości? Dobrze znała bezlitosnych mężczyzn, bo taki był ojciec i jego ochroniarze. Oni nie wahaliby się przed niczym.

On się wahał.

Zmienił zdanie?

Bezwiednie gładząc dłonią brzeg sukienki, słuchała, jak melodyjnie brzmi jego głos, gdy mówi po włosku.

Skończył i schował telefon do kieszeni.

– Spokojnie. Nie pójdziesz do aresztu. Dam ci tydzień…

Poczuła wielką ulgę. Jakby na chwilę rozluźnił się ciasny, duszący ją węzeł. Cieszyła się, że siedzi, bo gdyby stała, nogi pewnie odmówiłyby jej posłuszeństwa.

– Och… Boże… – wyrwało jej się z ust. – To gdzie będę?

– W moim londyńskim domu. Nie ma tam cel, ale bądź pewna, że to wciąż… więzienie.

– Nie myślałam, że masz w sobie jakieś współczucie.

Vincenzo wciąż patrzył na nią z tak obojętnym wyrazem twarzy, jak obojętnie brzmiał ton jego głosu.

– Mówiłem, że nie chcę cię złamać. Jesteś dla mnie narzędziem. Nie chcę kobiety sparaliżowanej panicznym lękiem.

Może więc się myliła. Może wcale jej nie współczuł, a objął ramionami i pomógł, bo miał w tym egoistyczny interes. Ale czy to ważne? Była bezpieczna. Wciąż miała nadzieję, że Vincenzo zmieni zdanie i nie wyda jej policji. Bo przecież dostanie to, czego chciał.

– Dziękuję – powiedziała.

– Jeszcze mi nie dziękuj – odpowiedział. – Przez ten tydzień nie będziesz tam sama.

Vincenzo krzywym okiem patrzył na ludzkie uczucia. Gardził nimi. To nie był jego świat. W swojej krucjacie spotykał się z nimi co chwila i zawsze zachował wobec nich zimny dystans. Niektórzy z przestępców próbowali go błagać. Płakali i rozsypywali się na drobne kawałki. Grali na strunie jego współczucia. Inni klęli i wpadali we wściekłość. Niektórzy, jak Lucy, mdleli z przerażenia. Nigdy nie poddawał się takim nastrojom.

Nie dopuszczał do siebie żadnych uczuć. Nie dawał sobą manipulować. Ludzie ci tylko udawali w nadziei, że zmieni zdanie.

Jego matka była mistrzynią, królową manipulacji uczuciami. Dlatego bez trudu rozróżniał każdy fałsz. Ale teraz nie wiedział, dlaczego chwycił w ramiona córkę Armstronga, gdy na jego oczach zaczęła słabnąć, a jej

oczy zaszły mgłą. Pwinien pozwolić jej upaść. Znał te sztuczki na wylot. W przeszłości wielu chciało w ten sposób wzbudzić w nim litość.

Jednak gdy Lucy zaczęła chwiać się na nogach, a jej okulary spadły na ziemię, natychmiast rzucił się w jej stronę. Zdążył ją podtrzymać i usiąść z nią na sofie. Objąć mocno ramionami, gdy trzęsła się i drżała na jego kolanach. Była zupełnie blada. Brak okularów odsłonił piegi na jej małym, kształtnym nosie. Dopiero wtedy pierwszy raz dostrzegł delikatne rysy jej twarzy, na której malowała się bezbronność zmieszana z uporem. Lucy miała zmysłowe usta i czarne gęste rzęsy. Gdy drżąca siedziała na jego kolanach, zdziwiony poczuł, że ma krągłe, kobiece kształty. Przedtem sądził, że jest bardzo drobna i szczupła. Nie. Było w niej ciepło i jakaś kocia miękkość. Gdy zobaczyła ochroniarzy, wtuliła się w niego mocniej, jakby tylko on mógł ją ochronić…

Dlaczego objął ją tak mocno? Czym, do diabła, było uczucie, które wtedy zaczęło w nim wzbierać, jak powoli prostująca się sprężyna? Powinien zignorować Lucy. Uznać, że ta mała spryciara odgrywa swój teatrzyk, i odesłać policji.

Coś mu jednak mówiło, że Lucy nie gra, a jej atak paniki jest prawdziwy…

Wciąż o tym myślał, gdy jego specjalnie wybrany do takich celów zwykły i tani samochód zaparkował przy krawężniku w jednej z bocznych uliczek ekskluzywnej londyńskiej dzielnicy Kensington.

W ciągu lat przeżył wiele prób zamachów. Ojciec Lucy wiedział, gdzie uciekła jego córka, bo wysłał za nią swoich siepaczy. Dla zmylenia śladów Vincenzo posłał swoją dobrze znaną przestępcom opancerzoną limuzynę w zupełnie inny rejon Londynu.

Miał w brytyjskiej stolicy kilka domów i z każdą wizytą zatrzymywał się w innym. Ostrożności nigdy dosyć. Ta zasada często ratowała mu życie.

Dotąd jednak nie zdecydował, co zrobi z Lucy. Za dwa dni miał wracać do Neapolu, by dopilnować rodzinnych interesów. Nie spodziewał się, że nagle przyjdzie mu tracić czas na córkę Armstronga.

Jej obecność krzyżowała mu plany…

I nie tylko…

Oboje szybko wyszli z samochodu i dobiegli do kutej z żelaza bramy, która natychmiast otworzyła się bezszelestnie. Ochroniarz wprowadził ich do bardzo bogato urządzonego salonu o oknach z kuloodpornego szkła.

Lucy usiadła na fotelu, a Vincenzo naprzeciw niej. Patrzyła na niego spod opadającej luźno na czoło burzy włosów.

Dziwna kobieta, pomyślał. Tak łatwo z panicznego i paraliżującego lęku wpada w gniew. Znów przyszło mu myśl pytanie, czy Lucy nie gra.

Szybko jednak zignorował własną podejrzliwość.

Wstał, podszedł do rzeźbionego, zabytkowego kominka i oparł rękę na marmurowym obramowaniu.

– Co ze mną zrobisz? – spytała.

Mógł zostawić ją samą i przysłać swoich ekspertów, by przejęli od niej wszystkie potrzebne informacje. Jednak… Ku swojemu zaskoczeniu czuł wewnętrzny opór przed takim rozwiązaniem.

Nie kłamał, mówiąc, że jest dla niego zbyt cennym narzędziem i że nie chce jej złamać. Potrzebował jej wiedzy i talentu. Pewnie dlatego chwycił ją w ramiona, gdy zasłabła. Sparaliżowana strachem kobieta nie dostarczy mu żadnych informacji. Miała być w jego ręku skalpelem, którym wytnie raka przestępczej działalności jej ojca. Skalpel musiał być jednak ostry jak brzytwa. Inaczej operacja się nie uda.

Wbrew sobie musiał obchodzić się z Lucy jak z jajkiem. Ostrożnie i delikatnie. W jej przypadku metody, jakie zwykle stosował, byłyby nieskuteczne. Nie mógł jej zostawić w rękach swoich ekspertów i ochroniarzy. Musiał sam się nią zająć.

Przez chwilę poczuł w sobie dziwnie radosne podniecenie. Jakby nie mógł się doczekać, kiedy zostanie z nią sam na sam. Szybko jednak je stłumił, tak jak tłumił większość swoich emocji, bo niczemu nie służyły. Najlepiej zająć się nią osobiście, ale wtedy musiałby znaleźć czas na tak delikatną operację.

Nigdy nie cackał się z przestępcami.

Jednak ukryte w jej laptopie informacje miały bezcenną wartość. Musiał znaleźć odpowiednie podejście.

Michael Armstrong był potężnym i wpływowym angielskim gangsterem. Cieszył się ogromnym szacunkiem w całym podziemnym świecie. Wykonywał też mnóstwo zleceń od przestępczych klanów z Rosji, Francji i Włoch, których poczynania od wielu lat monitorował Vincenzo. Wydanie Armstronga w ręce sprawiedliwości stanowiłoby cios dla europejskiej zorganizowanej przestępczości i skutecznie zniwelowało jego wpływy w samej Anglii.

Gra była warta świeczki.

Vincenzo nie był jednak pewien, czy naprawdę tylko dlatego chciał osobiście zająć się Lucy…

Przypomniał sobie, jak siedziała na jego kolanach i kurczowo trzymała się jego koszuli. Jej ciało było miękkie i ciepłe. Pachniała dojrzewającymi w słońcu kwiatami. Jej zapach przywiódł mu na myśl wakacyjne lata, jakie spędzał w dolinie, gdzie stał ich rodzinny pałac. Jako chłopiec bawił się tam ze swoją dziecięcą miłością Gabriellą.

Było to, jeszcze zanim matka podstępnie go wykorzystała. Wtedy wszystko się zmieniło.

Stojąc przy kominku, patrzył na Lucy.

Trzymała w ręku filiżankę z herbatą. Ktoś mniej spostrzegawczy mógłby pomyśleć, że jej lęk minął i odzyskała spokój. Ale Vincenzo wiedział, że to pozory. Trzymała filiżankę tak mocno, jakby była jej ostatnią deską ratunku. W jej oczach czaił się ciemny cień.

Rozumiał jej ataki paniki i to, że nieczęsto buntowała się przeciwko ojcu. Bała się tych ataków. Vincenzo wiedział, że są setki sposobów złamania więźnia. Jednym z nich było zamknięcie go w ciemnej celi.

Ciemność budzi lęk.

Ojcu nie udało się jednak do końca jej złamać. W jej oczach Vincenzo widział błysk oporu i buntu. Złamana kobieta miałaby odwagę uciec od takiego oprawcy?

Nie. Lucy była odważna.

Widział, że i teraz wzięła się garść.

– Dasz mi informacje, których chcę?

– O ojcu?

– A o kim innym?

Popatrzyła na niego ostrożnym wzrokiem.

– Nie wiem… Gdy ci je dam, wydasz mnie policji.

– Obiecałem ci tydzień. Moje słowo jest święte.

– Tydzień czego? Zamknięcia w tym domu gdzieś w piwnicy?

– Mówiłem, że nie ma tu cel.

– Ale nie powiedziałeś, co jest. Lubię jasne sytuacje. Wtedy pracuje mi się najlepiej.

– Znów chcesz się targować? Przypominam, że tylko dzięki mnie nie siedzisz w areszcie, ale w każdej chwili możesz się w nim znaleźć.

Wciąż trzymała filiżankę, ale już nie tak mocno, lecz drżącą ręką. Przez chwilę czuł nieprzepartą chęć, by objąć Lucy i przytulać tak długo, aż się uspokoi.

Śmieszne, pomyślał. Skąd się biorą takie odczucia? Sądził, że dawno już pozbył się wszelkich opiekuńczych instynktów. Zwłaszcza w stosunku do kobiet. Kobiety są zdradliwe. Bardziej niż mężczyźni. Odrobił tę lekcję na własnej skórze. Jego ojciec był słabym człowiekiem. Niezgułą. Ale matka – wytworna kobieta drobnej budowy – była osobą niebezpieczną i zupełnie pozbawioną litości. Brutalnie broniła brudnej i krwawej historii rodu, stawiając nad wszystko jego interes.

Nawet nad syna.

– Ale wtedy nic ci nie powiem, a tego nie chcesz.

– Nie targuję się z więźniami – odparł Vincenzo przez zaciśnięte zęby.

Gwałtownym ruchem odstawiła filiżankę na stolik, aż kilka kropel gorącej herbaty wylało jej się na rękę. Syknęła z bólu. Podskoczył do stolika, chwycił serwetkę, wziął jej małą dłoń i delikatnie starł resztki płynu.

Chciała wysunąć rękę, ale Vincenzo mocno ściskał jej palce. Wiedział, że nie powinien ulegać takim impulsom, ale widział ślady oparzenia.

Ona się ciebie boi, pomyślał.

Ale wielu ludzi się go bało. Nigdy się tym nie przejmował. Dlaczego teraz postąpił inaczej?

– Puść. To nic wielkiego – powiedziała nieśmiałym głosem.

Zignorował jej prośbę.

– Powiedz, czego chcesz – poprosił.

Działał wbrew własnym zasadom. Nigdy nie negocjował z przestępcami.

– Nie rozumiem…

Jej dłoń lekko drżała w jego dłoni.

– Mówiłaś, że chcesz tygodnia normalnego życia. O to ci chodzi?

Miała smukłe palce. Jej mała dłoń ginęła w jego dłoni. Lucy nie była piękna ani czarująca. Nie mrugała zalotnie rzęsami, jak inne kobiety, gdy chciały go uwieść. Nie płakała i nie krzyczała. Była tylko… przerażona. I bardzo ostrożna. Jak róża, która pod wpływem dotknięcia, chowa płatki. Ale mimo że to on miał wszystkie karty w ręku, starała się panować nad sobą.

– Nie dasz mi normalnego życia. Przekażesz policji.

– Nie przyszło ci do głowy, że na to zasługujesz?

Zaczerwieniła się i odwróciła głowę. Widział, że Lucy się wstydzi i nie udaje. Musiała przeżywać też poczucie winy.

Jego matka nigdy nie ulegała temu uczuciu. Nawet wtedy, gdy policjanci wyciągali ją z domu. Wiedziała, że toczy wojnę z innymi rodzinami i z policją. To samo nieustannie wkładała do głowy synowi.

Ale kłamała. Bo gdyby toczyła wojnę, Vincenzo czułby się jak żołnierz, a nie jak wspólnik rodzinnych zbrodni.

– Nie. Myślę… Myślę… – usłyszał głos Lucy.

– Złamałaś prawo. Wiele razy.

Wciąż nie puszczał jej dłoni.

– Sądzisz, że nie musisz za to odpowiedzieć?

Czuł jej silny puls. Znów emanował z niej strach. Irytowało go, że Lucy się go boi, ale nie wiedział, skąd bierze się ta irytacja.

Lucy cała była strachem. Jakby tkwiła w nim przez całe życie.

Ale jeśli nawet, to dlaczego Vincenzo miałby się nią przejmować? Nie różniła się od innych przestępców. Ojciec pewnie naprawdę wymuszał na niej posłuszeństwo, zamykając ją w ciemnej piwnicy. Jednak nie zmieniało to istoty jej czynów.

Tak samo postępowała wobec niego jego matka… Nie. Tę ptaszynę tylko zamykano w ciemnościach. Strach kazał jej być posłuszną. Matka Vincenza używała znacznie ostrzejszego narzędzia – synowskiej miłości przeciw synowi.

Ale Lucy nie zrobiła tego, co on…

– Wiem, że złamałam prawo. Ukrywałam i transferowałam pieniądze ojca. Pomagałam mu gromadzić ich jeszcze więcej. Wszystko nielegalnie…

Zamilkła. W jej oczach pojawił się wyraz bólu.

– Zmuszał mnie do tego. Robiłam to wbrew sobie. Dla ciebie pewnie żadna różnica, ale wiedz, że pragnęłam i marzyłam tylko o jednym… O smaku wolności…

Jej głos zmiękł. Rozluźniła palce dłoni trzymanej w jego dłoni.

Czuła, że nagle rozpłynął się cały jej bunt i opór.

Vincenzo powinien sobie winszować, że ją złamał, ale nie czuł satysfakcji zwycięzcy.

To nie była wygrana.

Przeciwnie. Miał poczucie, że brutalnie zniszczył coś kruchego i cennego. Gubił się w myślach. Tak, była przestępczynią. Nieważne, czy z własnej woli, czy nie. Z jego punktu widzenia była winna. Nie powinna wzbudzać w nim żadnych uczuć. Dlaczego więc czuł, że coś ściska mu serce? Skąd gniew?

Może irytowała go własna niezręczność? Nie chciał złamać Lucy. Musi postępować z nią delikatnie, a nie brutalnie, jak zwykle wobec innych

przestępców. Musi przynajmniej spróbować. Śmiertelnie przerażona nie pomogłaby w jego misji.

Musi zmienić podejście.

– Podaj mi drugą dłoń – powiedział spokojnym głosem.

Gdy bez sprzeciwu wyciągnęła ją, ciepłym gestem przykrył jej dłonie swoimi i popatrzył jej w oczy.

– Przez ten tydzień nie będziesz miała pełnej wolności, ale poczujesz jej smak. Cena jednak zostaje ta sama: wszystkie informacje o twoim ojcu i jego wspólnikach. Cała twoja wiedza.

Zawahał się przez chwilę.

– Jeśli się zgodzisz, wstawię się za tobą na policji i u prokuratora. Moje słowo się liczy. Może zmniejszą twój wyrok.

Wciąż patrzyła na niego podejrzliwie. Jednak tym razem dostrzegł w jej oczach błysk nadziei.

Biedna ptaszyna. Nie powinna mieć nadziei. Nadzieja to tylko narkotyk, który łagodzi ból. Gdy przestaje działać, świat staje się jeszcze gorszy.

– Zgoda. Czemu jednak mam wierzyć, że dotrzymasz słowa?

– Nie wiem…

Vincenzo nigdy nie owijał niczego w bawełnę.

– Ale musi ci ono wystarczyć.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Lucy na próżno starała się ukryć podniecenie, gdy prywatny odrzutowiec Vincenza lądował na lotnisku w Neapolu. Nigdy przedtem nie wyjeżdżała z Anglii. Rzadko opuszczała nawet Kornwalię.

Teraz lądowała w zupełnie innym świecie.

Vincenzo bez kłopotu poradził sobie z formalnościami. Błyskawicznie załatwił jej paszport, choć nigdy go nie miała. Nie zdążyła się nawet rozejrzeć, gdy zaraz po wylądowaniu w Neapolu już siedziała w prywatnym śmigłowcu Vincenza.

Przelecieli nad rozciągniętym szeroko miastem, a później nad ciągnącymi się w nieskończoność błękitnymi wodami Zatoki Neapolitańskiej. Chłonęła widoki jak dziecko z nosem przyklejonym do szyby.

Nie wiedziała, dokąd lecą, ale nie zaprzątała sobie tym głowy.

Wpatrywała się w wodę, która w jej myślach stawała się symbolem wolności. Wreszcie widzi morze! Tyle razy wsłuchiwała się w szum fal podczas samotnych nocy w ciemnej piwnicy ich domu, ale nigdy nie widziała błękitu wód.

Nie wiedziała, dlaczego ten widok przyciągał jej wzrok jak magnes.

Wiesz, pomyślała.

Łatwiej było zapatrzeć się na zatokę niż pozbyć się świadomości, że obok siedzi ten mężczyzny. Vincenzo milczał, ale z całej jego sylwetki emanowało coś władczego.

To on był jak magnes, który bardziej ją przyciągał niż widok morza.

Podczas lotu w ogóle się do niej nie odzywał. Rozmawiał przez telefon lub śledził monitor swojego laptopa. Vincenzo był wiecznie zajętym człowiekiem. Prowadził rozległe rodzinne interesy, bo jego rodzice siedzieli w więzieniu, a był jedynakiem. Poza tym mnóstwo czasu zajmowała mu wojna z europejskim syndykatem przestępczym.

Znalazł jednak czas, by wywieźć Lucy z Londynu tuż po tym, gdy tylko zgodziła się na jego warunki – tydzień częściowej wolności za informacje.

Nie był pewien, dlaczego jeszcze w Londynie zmienił zdanie, bo na początku chciał jak najszybciej przekazać ją w ręce władz. Zwłaszcza że sama już się poddawała, prosząc go tylko, by nie poruszał bolesnej dla niej sprawy jej matki.

Słynął z żelaznej determinacji, a raptem niespodziewanie zgodził się dać Lucy czas, o który prosiła. Miała nadzieję uzyskać więcej, ale tydzień był lepszy nic. Zyskała parę dni, by skłonić Vincenza, by nie wydał jej policji. Skoro raz zmienił zadanie, może je zmienić znowu. Jeśli tylko Lucy… okaże się wystarczająco przekonywująca…

Musisz, pomyślała, ale uznała tą myśl za ostrzeżenie, które wzbudzało w niej strach, więc szybko ją zignorowała. Była mistrzynią ignorowania rzeczy, które ją przerażały. Przez lata nauczyła się widzieć tylko to, co miała akurat przed oczyma.

A teraz miała błękit Zatoki Neapolitańskiej.

Nie potrafiła jednak zupełnie zignorować siedzącego obok Vincenza. Intrygowała ją nie tylko jego sylwetka i profil, ale i zapach. Nie wiedziała, że mężczyzna może pachnieć tak intrygująco. Wciąż pamiętała dotyk jego dłoni i jej ciepło.

Wciąż bała się Vincenza, ale w zagadkowy sposób ją pociągał. Nie rozumiała, dlaczego. Wbrew wszystkiemu czuła się przy nim bezpiecznie,

jak nigdy w życiu. Tak mocno ją obejmował, gdy przeżywała atak paniki…

Był jak pantera wygrzewająca się na skałach. Gdyby tak do niej podejść… Przesunąć dłonią po jej futrze…

Dotknąć tego mężczyzny…

Skończ z głupstwami, skarciła się w myślach. Był jej wrogiem. Miał w nosie, czy ojciec zmuszał ją do przestępstw. W jego oczach Lucy była winna. I koniec. Po tygodniu przekaże ją policji.

Znów poczuła w sobie lodowaty strach, ale ku jej uldze śmigłowiec już się zniżał nad stromymi klifami zatopionej w zieleni wyspy usianej dziesiątkami wielkich luksusowych rezydencji.

Kilka minut później wylądowali na ogromnym trawniku, który zdawał się ciągnąć aż do morza. Na środku stała ogromna zabytkowa willa z białego kamienia z mnóstwem tarasów i balkonów. Otaczał ją pięknie utrzymany ogród z wijącymi się ścieżkami.

Vincenzo pierwszy wyskoczył ze śmigłowca. Lucy tuż za nim. Na twarzy poczuła chłodne przesycone solą morskie powietrze kontrastujące z gorącym słońcem. Mogłaby tak stać godzinami i chłonąć wzrokiem widok morza w dali, ale Vincenzo szybko wziął ją pod ramię i poprowadził w stronę rezydencji. Otworzył podwójne oszklone drzwi. Weszli do wielkiego białego salonu, gdzie stało kilka starych, pięknych skórzanych sof, których nie powstydziłoby się żadne muzeum sztuki meblarskiej. Podłogę stanowił niezwykły zabytkowy parkiet. Miała wrażenie, że leży tam od wieków. Na stolikach stały rzeźbiarskie dzieła sztuki. Całości dopełniały antyczne półki wypełnione książkami o złoconych grzbietach i niezwykły kredens. Zapewne dzieło jakiegoś mistrza z dawnych wieków.

W salonie panowały spokój i taka cisza, że Lucy słyszała szum morza. Jakże inne uczucia wzbudzał w niej teraz ten odgłos niż wtedy, gdy słuchała go w ciemnej piwnicy. Z salonu widziała ciągnącą się w nieskończoność

taflę wody. Powietrze było cieplejsze i rześkie. Nie miało, jak tam, stęchłego, piwnicznego zapachu.

– Gdzie jesteśmy? – spytała Vincenza, który rozmawiał z ubraną w mundurek szefową służby.

Usłyszała tylko jej imię, Martina.

– Na Capri. To Villa de Santi. Letnia rezydencja mojej rodziny.

– Letnia? Cudowne miejsce.

– Zbudowano ją na pozostałościach starożytnego rzymskiego pałacu. Należy do nas od pokoleń. Nasza główna rezydencja leży nieopodal Neapolu, ale pomyślałem, że będziesz chciała być bliżej morza. Niczego się nie bój. Jesteś tu bezpieczna. Możesz spacerować, gdzie chcesz…

Jego słowa tylko potwierdzały to, co o nim czytała, gdy obmyślała swój plan. Vincenzo był wpływowym i niezwykle bogatym człowiekiem. Znany wszystkim największym europejskim koneserom sztuki dom aukcyjny w Londynie stanowił tylko czubek góry lodowej.

Nigdy od niego nie uciekniesz…

Dziwne jednak, że wcale nie myślała o ucieczce. Przynajmniej nie teraz. Chciała tylko, by nie wydał jej śledczym. Nawet jeśli na to zasługiwała. Tak podpowiadał jej strach, ale go zignorowała.

– Ale spacery tylko tutaj? Nigdzie indziej? – zapytała.

– Oczywiście, Ptaszyno – odparł. – Masz ograniczoną wolność… Całkowicie zależną ode mnie.

Nie oczekiwała innej odpowiedzi, ale i tak czuła się po stokroć lepiej niż w Kornwalii. Wciąż była więźniem, ale mogła przynajmniej oglądać morze.

– Dlaczego tak mnie nazywasz? Mów wprost, że jestem tylko pospolitym więźniem.

Dostrzegła na jego twarzy wyraz zaskoczenia.

– Nie wiem. Może tak mi się kojarzysz. W okularach przypominałaś mi małą sówkę, ale pomyślałem, że słowo „ptaszyna” brzmi przyjemniej. Później zjemy kolację na tarasie. Martina pokaże ci twój pokój.

Vincenzo ruszył w stronę drzwi, ale po chwili odwrócił się w stronę Lucy.

– Jeszcze jedno. Służba nie mówi po angielsku. Nie próbuj więc wykorzystać jej do ucieczki…

Nie myślała o ucieczce. W głowie brzmiało jej jedno słowo „ptaszyna”…

Wyraz lekceważenia? Może, ale jednak miły dla ucha…

Vincenzo znikł za drzwiami.

Martina poprowadziła Lucy długimi korytarzami rezydencji, która wzbudzała w niej coraz większy zachwyt. Wiekowe białe ściany nadawały jej przestronny charakter i sprawiały, że wszędzie rozlewało się światło. Wygląd podłóg zmieniał się co chwila. Ceramiczną mozaikę zastępował parkiet ze szlachetnego, pieczołowicie zakonserwowanego drewna, tu i ówdzie pokryty wzorzystymi dywanami. Na ścianach wisiały obrazy starych włoskich mistrzów. Oszałamiające połączenie prostoty i bogactwa! Ale najbardziej cieszyło ją, że wszędzie czuła lekki zapach morza.

Zapach wolności…

Jej sypialnia znajdowała się na piętrze. Ona również miała białe ściany. Podłogę pokrywały drewniane deski w ciepłym brązowym kolorze. Na wielkich, uchylonych, wychodzących na morze oknach wisiały zwiewne zasłony, które poruszały się z każdym powiewem wiatru. Stojące pośrodku królewskie łoże z baldachimem zasłane było jedwabną pościelą. Z sypialnią graniczyła duża łazienka o ścianach wyłożonych błękitną ceramiczną mozaiką. Inne drzwi prowadziły do garderoby.

Weszła do niej i od niechcenia otworzyła pierwszą z brzegu szafę. Na wieszaku wisiał wspaniały chiński szlafrok-szata z cienkiego jak pajęcza nić purpurowego jedwabiu, ozdobiony haftowanymi złotą nicią smokami.

Zdjęła wieszak…

Nigdy nie interesowały jej stroje i ubiory. Mało ich w życiu miała. Nigdy nie myślała o swoim wyglądzie. Ale teraz szybko zdjęła ubranie i włożyła szlafrok. Było coś nieskończenie miłego i delikatnego w tym niezwykłym materiale, który delikatnie muskał jej ciało.

Wróciła do pokoju i z rozłożonymi rękami rzuciła się na plecach na łóżko. Odetchnęła głęboko. Długo, bardzo długo wpatrywała się w kolorowe wzory na baldachimie.

Pierwszy raz od czasów dzieciństwa Lucy Armstrong czuła się lekko na duszy.

Do późnej kolacji zostało jeszcze trochę czasu. Lucy wzięła gorącą kąpiel i znów otuliła się jedwabnym szlafrokiem. Niepewnym krokiem podeszła do drzwi sypialni. Była pewna, że są zamknięte na klucz. Wahając się, ostrożnie nacisnęła klamkę. Drzwi cicho się otworzyły.

Vincenzo mówił prawdę – mogła chodzić, gdzie chce. Przez chwilę naszło ją wspomnienie zawsze zamkniętej na kilka zamków ciemnej piwnicy w domu rodzinnym. Wychyliła głowę. Kusiło ją, żeby wyjść, ale wróciła do sypialni. Była zmęczona. Zamknęła oczy. Chciała chwilkę posapać. Minutkę…

Gdy je otworzyła, od razu zobaczyła, że światło w pokoju się zmieniło. Długie promienie słońca świadczyły, że nadchodził zmierzch. Przez chwilę nie mogła pozbierać myśli. Gdzie jest? Co się zdarzyło?

Wstała z łóżka. Była głodna. Weszła do łazienki, by się ubrać. Ale całe jej ubranie, łącznie z bielizną, znikło.

Zmarszczyła brwi.

Bez bielizny, w samym szlafroku, czuła się nieswojo.

Nie miała wyboru. Mocniej ścisnęła lekki jak mgiełka szeroki pas szlafroka i wyszła na korytarz.

W rezydencji panowała cisza. Poszła tą samą drogą, którą przedtem szła razem z Martiną. Nie napotkała nikogo. Weszła do białego salonu, a z niego na biały kamienny taras. W świetle zmierzchu jego biel nabrała pięknej tajemniczej barwy. Wzrok Lucy przykuł stół nakryty do kolacji ręcznie tkanym białym obrusem i dwa rzeźbione krzesła. Na jego środku stał stary zabytkowy świecznik ozdobiony głowami lwów, a po dwóch stronach kryształowe kieliszki do wina.

Romantyczna sceneria. Nie tak przyjmuje się przestępcę czy więźnia…

Kto to przygotował? Służba? Wiedzą, kim jest Lucy?

Może myśleli, że Vincenzo zaprosił partnerkę lub kochankę?

Zmieszana podeszła do otaczającej taras kamiennej balustrady. Oparła się o nią i spojrzała na morze. Jaki cudowny widok! Na wodzie kołysały się białe żagle jachtów. Niektóre z nich wyglądały jak pływające pałace. Wyobraziła sobie, że stoi na pokładzie jednego z nich, płynie w stronę powoli zachodzącego słońca i sama znika za horyzontem. Ku wolności…

Może pewnego dnia uda się do niej dopłynąć…

Z rozmarzenia wyrwał ją odgłos kroków na kamiennej posadzce tarasu. Odwróciła się. Wiedziała, kto nadchodzi.

Vincenzo.

Zatrzymał się przy stole i zmierzył ją uważnym spojrzeniem. Był w nienagannie białej koszuli idealnie kontrastującej z jego ciemnooliwkową cerą. Stał w niedbałej i luźnej postawie, ale Lucy dostrzegła w nim wyraźne napięcie, co nadawało mu wygląd człowieka jeszcze bardziej

bezwzględnego. Kogoś, kto samym wyglądem onieśmiela, a nawet przeraża. Rycerz-anioł wojny gotowy do walki.

W milczeniu odsunął krzesło i usiadł. Światło zachodzącego słońca sprawiało, że jego arystokratyczna twarz nabrała złotawego koloru. Powinno więc łagodzić jej ostre rysy, ale zamiast tego tylko jeszcze bardziej podkreślało rysującą się na niej determinację i stanowczość.

Vincenzo przerażał ją… i hipnotyzował. Zniewalał i urzekał. Nie mogła pojąć, dlaczego mimo lęku nie może oderwać oczu od tego mężczyzny. Jakby się bała, że gdy odwróci wzrok, utraci coś cennego.

Matka Lucy bała się męża. Ale nie zawsze tak było. Kiedyś zdradziła córce, że Michael był w przeszłości dobrym człowiekiem. Jednak z upływem lat do głosu doszła jego mroczna strona. Wpadł w złe towarzystwo. Wtedy Kathy zaczęła się go bać. Lucy zapytała matkę, dlaczego od niego nie odeszła i nie zaczęła nowego życia. Kocham go, usłyszała odpowiedź.

Jakby uczucie wyjaśniało wszystko.

Lucy nigdy nie rozumiała tej postawy, ale nauczyła ją ona jednego – jeśli ktoś, kogo kochasz, cię krzywdzi, uciekaj od niego jak najdalej.

Matka ostrzegała ją, by nigdy nie poszła w jej ślady.

Lucy stała teraz naprzeciwko mężczyzny, który w niewytłumaczalny sposób ją przyciągał i… jednocześnie przerażał.

Córka powtarza los matki?

Nikt nie zna przyszłości.

Vincenzo wciąż mierzył ją wzrokiem. Zarumieniła się i przez chwilę nie mogła nabrać oddechu. Nagle naszła ją myśl, że jest bardziej podobna do Kathy, niż sądziła. Odwróciła się w stronę morza, by zyskać czas na odzyskanie spokoju. Nie, nieprawda. Za mało znała mężczyzn, by wiedzieć,

czy jest pod tym względem jak matka. Dlaczego miałaby być? Jej kontakt z nimi sprowadzał się do jednego – do strachu.

Przy żadnym z nich nie czuła się tak, jak… teraz… Przy nim…

– Usiądźmy przy stole – powiedział chłodnym głosem.

Vincenzo nie widział, co go gryzie. Lucy wciąż stała oparta o balustradę tarasu. Promienie zachodzącego słońca oblewały ją złotą poświatą. Purpura jej jedwabnego szlafroka zdawała się w niej płonąć, a haftowane smoki – tańczyć. Kolor jedwabiu sprawiał, że skóra Lucy nabrała odcienia porcelany. Musiała też zrobić coś z włosami. Przedtem były ciemnobrązowe i matowe, teraz lśniły bogatą i błyszczącą barwą kasztanu. Złociste hafty szlafroka wydobywały też kolor jej głęboko piwnych oczu. W ciągu kilku godzin mała, skulona ptaszyna, przemieniła się w syrenę.

Nie mógł oderwać od niej oczu.

Podeszła do stołu. Powiew morskiej bryzy sprawił, że szlafrok lekko osunął się z jej prawego ramienia i odsłonił skrawek białej skóry. Musiała nie zdawać sobie z tego sprawy, bo nie osłoniła go z powrotem. Mocniej ścisnęła tylko pas, którym była przewiązana.

Usiadła przy stole, a ruch ten spowodował, że ramię odsłoniło się jeszcze bardziej.

Vincenzo natychmiast zauważył, że Lucy nie ma stanika. Wiedział dlaczego, bo sam polecił wyrzucić jej stare ubrania do kosza, a w rezydencji nie było kobiecych strojów.

Nigdy nie zapraszał tu swoich kochanek. Zresztą – nikogo.

Wciąż nie umiał sobie odpowiedzieć, dlaczego ją tu przywiózł. Lepszym miejscem dla niej był przecież ich całkowicie bezpieczny rodzinny pałac w Kampanii wzniesiony na pozostałościach średniowiecznego zamku. Vincenzo podejrzewał jednak, że Lucy mogłyby

przerażać jego mroczne komnaty i zimne starożytne ściany. Rezydencja na Capri była bardziej przestronna i zawsze pełna światła. Stała tuż nad klifem. Trudniej więc byłoby stąd uciec. Capri to przecież wyspa.

Każdy z tych powodów był dobry, by przywieźć ją w miejsce, gdzie nigdy nikogo nie zapraszał. Jednak przyczyna była zupełnie inna. Nie mógł zapomnieć jej głosu, gdy mówiła, że w swoim domu w Kornwalii słuchała szum fal, ale nigdy nie widziała morza.

Stajesz się zwykłym mięczakiem, pomyślał. Zmęczyła cię krucjata?

Nie. Potrzebował Lucy, ale takiej, która się go nie boi i chętnie przekaże mu wszystkie informacje. Musiał uśmierzyć jej lęki. Może wtedy nawet mu zaufa?

Jego rozmyślania przerwało wejście służby z tacami pełnymi dań. Oliwki, świeżo wypieczony chleb, sery i talerze pełne smakowicie pachnącej pasty. Na stole stanęła też butelka świetnego wina z rodzinnej winnicy.

Oboje milczeli. Vincenzo nie potrafił oderwać wzroku od jej nagiego ramienia, ale jego cierpliwość powoli się kończyła.

Lucy sięgnęła po chleb, a wyciągając rękę, bezwiednie jeszcze bardziej odsłoniła ramię. Vincenzo gwałtownie odsunął krzesło i wstał.

Wiedział, że nie powinien, ale nie mógł się powstrzymać. Wolno okrążył stół, podszedł do niej i lekkim ruchem podciągnął osuniętą część szlafroka z powrotem na jej ramię. Bardziej delikatny mężczyzna zrobiłby to, nie dotykając jej, ale Vincenzo nie był delikatnym mężczyzną. Dlatego dotknął przy tym palcami jej nagiej skóry. Była ciepła i bardziej jedwabista niż jedwab szlafroka.

Lucy spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami. Lekko rozchyliła wargi i wstrzymała oddech. Zarumieniała się, a jej piegi nabrały różowego koloru. Poczuła gęsią skórkę na całym ciele.

Vincenzowi byłoby łatwiej do końca odsłonić, niż zasłonić jej ramię. Zbadać dłonią krągłości, które czuł, gdy w biurze siedziała na jego kolanach. Pieścić je, by sprawdzić, czy są tak delikatne, jak linia jej ramion…

Patrzyła na niego tak, jakby nigdy w życiu nie widziała mężczyzny. Wciąż miała lęk w oczach, ale teraz widział w nich także coś… czego nigdy nie widział w oczach innych kobiet.

Był pewien, że ją pociąga jako mężczyzna. Przez głowę przemknęła mu myśl, którą natychmiast odrzucił, że mógłby wykorzystać tą sytuację do własnych celów. Taką taktykę stosowała jego matka. Sztuka uwodzenia i kuszenia ludzi, by później brutalnie wykorzystać ich do własnych celów – to był jej żywioł. Vincenzo już dawno obiecał sobie, że nigdy tak nie postąpi. Uwodzenie ofiary nigdy nie było i nie będzie jego bronią.

Był ponad to.

Wrócił do swojego krzesła.

Siadając, pomyślał, że może Lucy świadomie odsłoniła ramię. Ale szybkie spojrzenie na wyraz jej twarzy powiedziało mu, że jest w błędzie. Ta kobieta nie miała w sobie ani krzty lisiej chytrości jego kochanek. Nie umiała udawać.

Wyjątek wśród przestępców.

– Dlaczego to zrobiłeś? – spytała ściszonym głosem.

Zignorował pytanie.

– Zamówiłem dla ciebie ubranie. Przyślą je jutro. Na razie musi ci wystarczyć ten… szlafrok.

– Skąd te pomysły? Ten piękny dom? Kolacja przy świecach? Jestem twoim więźniem, przestępczynią, a przyjmujesz mnie jak…

Szukała odpowiedniego słowa.

– Jak… królewskiego gościa.

– Mówiłem, że nie będziesz siedzieć tu w celi. Świece to pomysł szefowej kuchni. Pracuje dla mnie od lat.

Kłamał. Pomysł był jego. Obawiał się, że ciemniejące o tej porze niebo wywoła w niej nowy atak paniki. Nie przyznał się jednak, bo wtedy straciłby nad nią przewagę.

– Nie podoba ci się? – zapytał.

– Och… nie… Jest cudownie. Chciałam tylko… – zamilkła i sięgnęła po pastę.

– Jestem taka głodna – zmieniła temat i zaczęła jeść.

– To widać – odparł cierpkim tonem. – Jesteś już gotowa przekazać mi informacje?

Upiła łyk wina z kieliszka.

– To stąd te świece i przepyszne jedzenie? Chcesz mnie przekupić i uśpić moją czujność, żebym już teraz dała ci to, co mam?

Vincenzo poczuł irytację. Trafiła w sedno. Obiecał jej tydzień.

– Nie – uciął krótko, choć i tym razem wiedział, że kłamie. – Świece to dodatek. Nigdy nikogo nie przekupuję i nie manipuluję. Przekażesz mi informacje, bo o nie prosiłem. Mamy układ.

Znowu upiła łyk wina i popatrzyła nie niego chmurnym wzrokiem.

– Dlaczego chcesz wsadzić mojego ojca? Zrobił coś złego komuś, kogo znasz? Mścisz się?

– Wiesz, że jest groźnym gangsterem i mordercą. To mi zupełnie wystarcza.

– Wiem. Ale dlaczego akurat on? Dlaczego nie zostawisz go policji?

Przyglądała się Vincenzowi z zaciekawieniem w oczach.

Zastanawiał się, dlaczego zadaje mu te pytania. Oczekiwała, że będzie się przed nią tłumaczył? Usprawiedliwiał? Przecież czytała, że nigdy tego

nie robił. Krążyły o nim setki plotek, ale nigdy na nie zważał.

Tylko on znał prawdę i nie dzielił się nią z nikim.

Nikt nie wiedział, że matka skusiła jego ojca do udziału w „biznesie” rodziny de Santi. Ani że zmanipulowała Vincenza, by zrobił to samo. Że użyła synowskiej miłości przeciw niemu samemu.

Był na wskroś jej tworem. Jej idealnym chłopcem. Dziedzicem. I narzędziem. Wmawiała mu, że toczy się wojna i oboje muszą bronić rodziny przed wrogami. Wszystko to były kłamstwa, ale za bardzo ją kochał, by je dostrzec. Może sam się oszukiwał, bo gdzieś w głębi serca zawsze wiedział, co robi rodzina, choć tłumił w sobie tę wiedzę.

Zdarzały się mu bezsenne noce, gdy leżąc w ciemności, bez przerwy rozmyślał o tym, co kazała mu robić matka. Szukał śladów czegoś, czego może nie dostrzegł, a co powinien zobaczyć. Czegoś, co przekona go, że jej kazania o wojnie i walce były zwykłym kłamstwem.

Ale nie znajdował żadnych śladów, cienkich nitek, które mogłyby poprowadzić go do prawdy. Matka latami doskonaliła sztukę kłamstw i całkowicie wciągnęła syna w ich sieć. Nigdy nie wyzwolił się ze zła, w którym uczestniczył. Mógł tylko łagodzić krzywdy, jakie kiedyś uczynił. Dlatego tak bezlitośnie ścigał przestępców.

Ale tej prawdy nie mógł zdradzić Lucy.

– Zostawię – wrócił do rozmowy. – Przekażę śledczym dowody, a oni zrobią resztę roboty.

– A to nie policja ma je zbierać?

Vincenzo czuł narastającą w nim irytację – nie Lucy miała jego przepytywać, lecz on ją.

– Brakuje im zasobów i wiedzy, którymi dysponuję. Czasem przekupują ich ci sami gangsterzy, których chcą wsadzać do więzień.

– Nie ufasz policji?

– Nikomu nie można ufać.

– Oprócz ciebie? – spytała.

Vincenzo tak mocno trzymał kieliszek, że gdyby jeszcze trochę zacisnął palce, kryształowe szkło pękłoby mu w dłoni. W jej spojrzeniu widział tylko zaciekawienie. Nie prowadziła żadnej gry. Naprawdę chciała wiedzieć i nie wykorzystywała jego irytacji.

– Nie jesteś zbyt uprzejma? – zauważył jakby mimochodem, próbując znów skierować rozmowę na samą Lucy.

– Bo zadaję pytania?

– Więzień nie odpytuje śledczego.

Zarumieniła się, a kolory nadały jej twarzy różany połysk. Spojrzał na Lucy. Była naprawdę ładna, co w niczym nie pomagało jego sprawie.

– Wiem, Vincenzo. Po prostu niezbyt często rozmawiam z ludźmi…

– Dlaczego?

Milczała, obracając w palcach szyjkę kieliszka. Siedziała lekko skulona, a kasztanowy kolor jej włosów nabrał w promieniach zachodzącego słońca jeszcze szlachetniejszej barwy. Jego pytanie dotykało bolesnych spraw. Miał poczucie, że postępuje teraz tak, jak jej ojciec, który zamykał ją w piwnicy. Przeżywał takie samo dziwne uczucie, jak wtedy, gdy drżącą trzymał ją w objęciach. Jakby coś ściskało mu gardło i serce.

Nie lubił tych chwil własnej słabości. Powinien dać sobie spokój z takimi pytaniami lub nawet wstać od stołu. Ale coś kazało mu zostać… i ani na chwilę nie odwracać oczu od Lucy owiniętej purpurowym jedwabiem. Drobnej, bezbronnej… i bardzo, bardzo samotnej.

– Ojciec traktował cię, jak więźnia?

– Byłam zbyt cenna, żeby mnie wypuścił, ale mówił, że więzi mnie dla mojego bezpieczeństwa. Podobno mnóstwo ludzi chciało mnie zabić lub przynajmniej wykorzystać moją wiedzę. W domu miałam być bezpieczna.

– Nie miałaś kogoś, z kim mogłabyś porozmawiać? Żadnych przyjaciół? Rodziny?

– W tajemnicy przed nim korespondowałam z kilkoma ludźmi online. Jednak w prawdziwym życiu nie miałam nikogo. Mogłam rozmawiać tylko z ojcem lub strażnikami, którzy dzień i noc nie spuszczali ze mnie oka, ale z nimi nie chciałam, bo mnie przerażali…

– Długo byłaś jego więźniem? – zapytał.

Wiedział, że nie powinien dopytywać. Bo po co? Zasługiwała na swój los.

– Od czasu, gdy skończyłam siedem lat.

Wciąż siedziała skulona, wpatrując się w kieliszek z winem.

– A ile masz teraz?

– Dwadzieścia dwa.

Piętnaście lat więziona przez ojca!

Vincenzo poczuł w sobie niespodziewany gniew, który natychmiast próbował opanować. Lucy była kryminalistyką i zasługiwała na sąd. Piętnaście lat to sprawiedliwy wyrok.

Na pewno?

Vincenzo walczył z myślami. I ze sobą. Całe życie była samotna, jak ty…

Nieprawda. Nie był samotny. Miał swoich ludzi i biznesowych przyjaciół, choć w gruncie rzeczy nie potrzebował nikogo, bo tylko sam mógł kroczyć po ścieżce, którą wybrał. Wiedział o tym od początku.

Ale odbywał swoją karę, jak Lucy… Był winny…

Zignorował te myśli. Jego własne poczucie winy nie miało nic wspólnego z siedzącą naprzeciwko kobietą. Jeszcze tego niszczącego poczucia brakowało w ciasnym suple kotłujących się w nim emocji.

Emocji, których – jak wmawiał sobie jeszcze wczoraj – nigdy nie odczuwał.

Nie powinien tu siedzieć i wysłuchiwać bajek o jej życiu. Gwałtownie wstał od stołu i stanął nad nią.

– Wszystko to nie ma znaczenia. Jesteś winna, Lucy. Pod koniec tygodnia zapłacisz za swoje uczynki.

ROZDZIAŁ PIĄTY

W jego chłodnym głosie słyszała niewzruszoną pewność. Skończył rozmowę. Nie powinna zadawać mu tych pytań, ale była po prostu ciekawa, dlaczego ta krucjata jest dla niego tak ważna.

Ciekawość zawsze przysparzała jej kłopotów.

Więzień nie przesłuchuje śledczego. Wiedziała, że jest winna.

Ale winna czego? Jeśli czegokolwiek, to tego, że wcześniej nie uciekła od ojca. Tchórzostwa. Jednak za nie nikt nie idzie do więzienia. Vincenzo z pewnością w ogóle nie myślał o takiej możliwości. Jak go przekonać, by ją wypuścił?

Mówiono, że jest nieprzekupny, ale ojciec powtarzał jej, że każdego można kupić.

Kim jest Vincenzo de Santi?

Wyprostowała się i spojrzała na niego. Patrzył na nią kamiennym wzrokiem. Mroczne i nieruchome oczy znów budziły w niej lęk. Ale całe życie bała się wszystkiego. Od czasu, gdy matka umarła na jej oczach. Jednak Kathy nigdy nie dopuściła, by strach powstrzymał ją przed chronieniem córki. Była odważna. Dlaczego Lucy nie poszła w jej ślady?

Bo masz inną broń, przeszło jej przez myśl. Jest mężczyzną, a ty kobietą.

Poczuła ciepły dreszcz na skórze, który przebiegł ją tak szybko, że ledwie zdążyła wziąć oddech.

Bo jest mężczyzną… Pamiętała, jak nie mógł oderwać oczu od jej nagiego ramienia. Mężczyzna patrzy tak na kobietę, gdy jest głodny… stęskniony… Gdy jej pożąda.

Dreszcz powrócił równie szybko, jak zniknął. Nigdy nie marzyła o kochanku. Po tym, co jej ojciec zrobił matce, Lucy nawet nie myślała, by być blisko mężczyzny.

Nigdy nie żałowała tej decyzji. Pragnęła tylko dotrzymać obietnicy złożonej Kathy. Żyj swoim życiem, powiedziała matka, umierając. Lucy nigdy jednak nie myślała, czym miałoby ono być, bo zajmowało ją tylko jedno – jak uciec. Gdyby nawet pomyślała, nie byłoby w tych myślach mężczyzny.

Teraz jednak zastanawiała się, czy nie byłoby jej łatwiej w Kornwalii, gdyby znalazła kochanka. Ojciec nigdy by na to nie pozwolił… Ale gdyby miała za sobą takie doświadczenie, wiedziałby, co robić i jak wykorzystać zmysłowy głód Vincenza do własnych celów.

Czyż nie? Mogłaby ofiarować siebie za wolność i w ten sposób zyskać kontrolę nad swoim losem. Czytała o kobietach, które chwytały się tej ostatniej deski ratunku…

Wiedziała, że Vincenzo mógłby wziąć ją siłą i zaspokoić głód pożądania. Ale ten obraz kłócił się z obrazem mężczyzny, który czule ją obejmował, gdy przeżywała atak paniki. Nie był brutalem, jak jej ojciec.

Vincenzo wpatrywał się w nią, jakby czytał jej myśli.

Naprawdę, Lucy, chcesz wykorzystać swój seksapil, by dostać to, czego pragniesz? Odzyskać wolność? Bo co ty wiesz o sztuce uwodzenia? Nic.

Była dziewicą, a Vincenzo miała ogromne doświadczenie w romansach, o których huczało w internecie. Poza tym nie umiała kłamać, a jeszcze bardziej – grać. Nie potrafiła udawać czegoś, czego nie czuje.

Na pewno tego nie czujesz?

Myśli krążyły w jej głowie jak oszalałe, a serce biło coraz szybciej. Supeł lęku zaciskał się coraz mocniej. Ale czuła coś jeszcze… Było to uczucie miłe i przyjemne… Ten ciepły dreszcz rozchodzący się po ciele jak lekka wiosenna bryza.

Nie była uwodzicielką. Nie wiedziała, jak uwodzić wdziękiem i czarem. Upiła kolejny, tym razem głęboki łyk wina i szybko odstawiła kieliszek. Wstała i zmierzyła się wzrokiem z pożądliwym spojrzeniem Vincenza. Opuściła rękę na kokardę pasa szlafroka.

– Jesteś pewny, że nie zmienisz zdania? Może mogłabym cię przekonać…

Jednym ruchem rozluźniła kokardę… Szlafrok bezszelestnie zsunął się z jej ramion i zatrzymał na biodrach.

Słonce już zaszło. Widoczna na horyzoncie łuna pogłębiała tylko podszytą purpurą i obejmującą wszystko ciemność. Płomyki świec drgały, a ich blask odbijał się w jego czarnych oczach, których nie spuszczał z niej ani na chwilę.

Nie odwróciła wzroku. Czuła w sobie lęk, ale i coś bardziej złożonego. Jak delikatny jedwab przetkany złotą i srebrną nicią jej lęk niósł w sobie inne uczucia, których nigdy przedtem nie przeżywała. Podniecenie, która odbierało oddech. Zwinięte w niej jak napięta sprężyna radosne oczekiwanie na coś, co się wydarzy…

– Co robisz, Ptaszyno? – zapytał zdziwiony i zakłopotany tym, co zrobiła.

Udawał. Stał nieruchomo, ale jego ciało rwało się do ruchu.

Lucy zrobiła jednak pierwszy krok. Postawiła wszystko na jedną kartę i nie miała drogi odwrotu.

– Nie widzisz? Zdjęłam szlafrok.

– Widzę. Gorąco ci?

– Nie. Nie chcę trafić w ręce policji. Za nic. Pomyślałam, że może… zmienisz zdanie…

Chciała się okryć, świadoma, jak światło płomyków świec miga po jej nagich piersiach. Nie była zupełnie naga, ale nigdy przed nikim nie stała rozebrana nawet do połowy. Tym bardziej przed mężczyzną, którego znała od kilku godzin. Obcym.

Dlatego czuła się całkowicie bezbronna. Ale była też zmęczona swoją samotnością i bezsilnością, które jak cień towarzyszyły jej od lat. Wyczerpana ciągłym życiem w lęku. Teraz znów się bała, ale już nie poddawała temu uczuciu.

– Próbujesz zmanipulować mnie seksem? Jeśli tak, ostrzegam cię, że znam takie sztuczki – powiedział zimnym głosem.

Lekko zadrżała.

– Nie to miałam na myśli… Nie… – odparła zakłopotana.

– A co? Myślisz, że jestem mężczyzną, który korzysta z takich okazji?

Chciała okryć się z powrotem, ale przeczucie jej mówiło, że Vincenzo nie jest zupełnie obojętny…

– Nie wiem. A jesteś?

– Nie. Zwłaszcza, gdy kobieta wcale mnie nie pragnie.

Zaskoczyły ją te słowa. Nie pragnęła go? Nigdy nikogo nie pragnęła, więc skąd miałaby wiedzieć, jak to jest pragnąć mężczyzny. Można pragnąć kogoś, kogo się boisz?

Ale czuła nie tylko lęk.

Patrzyła, jak światło świec migoce na mocnych rysach jego twarzy. Odsłania męskie kontury szczęki i kości policzkowych. Kładzie się cieniem na jego czarnych oczach. Chciała mu powiedzieć, że czuje tylko lęk, ale musiało ją zdradzić jej wahanie. Vincenzo stał, milcząc. Po chwili szybko się odwrócił i wyszedł.

Lucy została sama. Świece powoli gasły.

Nie wiedział, co robić. Był wściekły na siebie, że pragnie tego, czego nie powinien, i na nią, że swoją nagością obnażyła jego pragnienie. Była przestępczynią, ale użyła swojego ciała jako karty przetargowej. Lucy zaprzeczyła, że nim manipuluje, ale i tak czuł się manipulowany.

W wyobraźni zobaczył scenę sprzed wielu lat…

Matka poprosiła go, by zabrał swoją przyjaciółkę Gabriellę do kina i na kawę. Miał ją wypytać o jej ojca. Zwłaszcza o to, czy następnego dnia będzie w domu, a jeśli wyjdzie, to dokąd.

Vincenzo miał wtedy osiemnaście lat i już zaczynał podejrzewać, że w zwykłych prośbach matki kryje się drugie dno. Zapytał, po co jej takie informacje. Dlaczego nie może pójść na zwykłą randkę z dziewczyną, którą znał od dzieciństwa i do której zaczynał czuć coś więcej niż zwykłą sympatię? Matka odpowiedziała, że chodzi o zwykłe sprawy między rodzinami. Nic ważnego. Przytuliła go z uśmiechem i Vincenzo od razu zapomniał o swoich wątpliwościach. Zawsze pragnął jednego – żeby matka była z niego zadowolona.

Zabrał Gabriellę do kina. W swobodnej rozmowie przy kawie wypytał ją o ojca. Wszystko przekazał matce. Nazajutrz ojciec dziewczyny zginął od ciosu w głowę. Nikt nie wiedział, która z mafijnych rodzin odpowiada za morderstwa. Ale Vincenzo wiedział. I wiedziała Gabriella.

Zrozumiał, że ją zdradził. Że przez niego zginął jej ukochany ojciec. I że Vincenzo był wspólnikiem. Gabriella przez lata obwiniała się o śmierć ojca.

Vincenzo nigdy nie zapomniał jej zrozpaczonego głosu, gdy zadzwoniła do niego dzień po zabójstwie i rzuciła mu wprost do słuchawki, co zrobił.

Śmierć jednego z największych mafiosów odbiła się szerokim echem w europejskim świecie przestępczym.

Gdy wieczorem tego dnia zdruzgotany Vincenzo przyszedł do matki, wzruszyła tylko ramionami i uśmiechnęła się do niego słodkim uśmiechem. „Mówiłam, to sprawy między rodzinami. Jeśli chcesz pozostać członkiem naszej rodziny, przywyknij do tego”.

Te słowa do dziś brzmiały mu w uszach.

Już wtedy wiedział, że nigdy nie przywyknie. Tak jak wiedział, że w słodkim uśmiechu matki czaiła się groźba. Choć nigdy przedtem mu nie groziła czuł, że teraz nie żartuje.

Wtedy zrozumiał, kim dla niej był. Nie synem, lecz narzędziem służącym budowie jej przestępczego imperium. Że w każdej chwili może zabrać Vincenzowi to, co dała. Że nigdy go nie kochała. Że nie był jej „przystojniaczkiem”, jak czule lubiła go nazywać. Że rozpieszczała go tylko po to, by zmienić go w posłuszny jej twór. Taki sam, jakim zawsze był jego ojciec.

Aby uśpić jej czujność udawał tego wieczora kochającego syna. W ciągu kilku dni zgromadził tyle informacji, ile mógł, o jej przestępczych działaniach i wszystkie przekazał policji.

Matkę i ojca aresztowano. Dostali wyroki więzienia. Sprawiedliwości stało się zadość.

Ale Vincenzo obiecał sobie, że nigdy nie pozwoli, by ktoś wykorzystał go tak jak matka. Aby uczucia przesłoniły mu prawdę i burzyły jego niewzruszony spokój. Odtąd miał słuchać tylko własnego sumienia i działać uczciwie.

Seks z Lucy tylko dlatego, że zaproponowała go jako monetę przetargową, podczas gdy on pragnął tej kobiety, byłby nieuczciwy.

A pragnął jej naprawdę. I to złościło go najbardziej.

Przez cały następny dzień starannie unikał Lucy, by dać jej możliwość spojrzenia z dystansu na to, co stało się wieczorem. Jednak przede wszystkim dlatego, że musiał przemyśleć reakcję swojego ciała, które wczoraj bezwolnie wyrwało mu się spod kontroli.

Miał też mnóstwo pracy. Ojciec Lucy kilka razy próbował się z nim skontaktować, by zaproponować coś w zamian za uwolnienie córki. Vincenza korciło, by wysłuchać Armstronga, choć z góry wiedział, co ten powie. Gangster znał tylko dwie metody działania – przekupstwo lub groźba. Żadna z nich nie robiła na Vincenzu wrażenia. Wiedział też, że siepacze Armstronga nie mają odpowiednich sił, by porwać Lucy z Capri.

Mógł spokojnie czekać, bo wiedział, że za tydzień gangster wyląduje w areszcie.

Vincenzo zamknął się więc w swoim gabinecie i zajął pracą. Nie mógł jednak wyrzucić z pamięci nagłego pożądania, jakiego doświadczył, i obrazu półnagiej Lucy. Jej pełniejszych niż sądził krągłych piersi. Jedwabistej różowawej skóry, której kolor jeszcze bardziej podkreślała wtedy purpura szlafroka.

Nie przespałby się z nią, nawet gdyby go pragnęła. Ale wiedział, że nie kierowało nią pragnienie. Patrzyła na niego bardzo czujnym i ostrożnym wzrokiem, w którym czaił się lęk.

To on złościł go tak samo, jak jego własne pożądanie i jej propozycja.

Wszystko go wtedy złościło. Wyszedł, bo czuł, że za chwilę zrobi coś, czego będzie żałował. Jak choćby uśmierzenia własnego gniewu przez seks.

Jednak rzucenie się w wir pracy nic mu nie dało. Siedział niespokojny i nie mógł się skoncentrować. Denerwowało go też, że musi czekać do końca tygodnia na informacje, dzięki którym rozprawi się z jej ojcem.

Mógł zostawić Lucy na Capri i wrócić do rodzinnej rezydencji, ale nie chciał nic zostawiać przypadkowi. Musiał trzymać rękę na pulsie. Lucy

mogła znowu uciec się do manipulacji, by zmienił zdanie. Ale on postąpi tak, jak zapowiedział. Ta myśl wzmocniła jego determinację, ale nie rozwiała niepokoju. Przez cały dzień czuł się rozdrażniony. Siedział w gabinecie do północy aż w końcu poszedł do sypialni.

Marzył, by zasnąć, ale upragniony sen nie nadchodził. Godzinami bezczynnie wpatrywał się w sufit. W końcu wstał i zszedł na dół na taras. Miał nadzieję, że rześkie morskie powietrze ostudzi dręczące go myśli. Wziął głęboki oddech w nadziei, że odzyska zwykłą jasność umysłu.

Nie mógł sobie pozwolić na zboczenie z drogi tylko dlatego, że pożądał kobiety najgorszej z możliwych – przestępczyni. Musiał pozostać wierny krucjacie naprawy zła, jakie przez wieki wyrządzała jego rodzina. I matka.

Musiał dokończyć dzieło.

Nagle usłyszał za sobą odgłos ostrożnie stawianych kroków. Od razu się odwrócił. Zawsze był przesadnie ostrożny i czujny. Zbyt wielu życzyło mu śmierci.

W ciemności majaczyła drobna postać. W świetle księżyca dostrzegł złote smoki na purpurowym jedwabiu i błyszczące kasztanowe loki. Poczuł zapach kwiatów. Vincenzo stał jak wryty, ale zadrżał w radosnym oczekiwaniu.

– Przepraszam. Nie wiedziałam, że tutaj jesteś…

– Co tu robisz? – zapytał szorstkim głosem.

Powinien, jak wczoraj, szybko opuścić taras, ale zagadkowa siła trzymała go w miejscu.

– Nie… Nie mogłam spać – odparła cichym głosem.

– Czemu?

– Nie wiem. Czułam niepokój…

Może Vincenzo się mylił, nie widząc w niej pożądania wtedy, gdy opuściła szlafrok, a tylko lęk. Nagle zapragnął zobaczyć jej twarz i wyraz oczu.

– Podejdź tu – powiedział, starając się, by jego słowa nie zabrzmiały jak rozkaz.

Wahała się, ale tylko przez chwilę. Wolnym krokiem podeszła do niego i stanęła niemal tuż przed nim. Mgliste światło księżyca starło kolory z jej policzków. Była blada, ale przez to jeszcze piękniejsza…

Nie zaprzeczyła, gdy wczoraj powiedział jej, że go nie pragnie. Nie umiała kłamać.

– Tak? – spytała ostrożnym tonem.

– Może oboje nie śpimy z tego samego powodu…

– Jakiee… Jakiego?

Gdyby nie wiedział, że Lucy nie umie grać, pomyślałby, że udaje. Mówiła prawdę. Co znaczyło, że albo wcale nie myśli o seksie, albo jest tak niedoświadczona, że nawet nie wie, że tak myśli.

– Myślałaś o mnie? – spytał, nie spuszczając z niej wzroku.

Nawet w słabym świetle księżyca widział, jak Lucy się zarumieniła.

– Tak – odparła z wahaniem w głosie.

To wyznanie podziałało na niego jak uderzenie pioruna. Mocno zacisnął dłonie.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Nie rozumiem… Boję się ciebie, a jednak nie mogę przestać o tobie myśleć. Jestem zbyt szczera?

Tak rzadko spotykał szczerość i uczciwość w swoim życiu, że ledwie je zauważał. Ale Lucy była nie tylko szczera, lecz także do bólu ostrożna, jak zwierzątko, które boi się nagłego ataku drapieżnika.

Nie wiedział dlaczego, ale nie chciał, żeby się go bała.

– Szczerość to dziś rzadkość. Nigdy za nią nie przepraszaj.

Spuściła wzrok na jego nagi tors. Patrzyła nań przez chwilę i szybko odwróciła oczy, nerwowo bawiąc się palcami kokardą pasa szlafroka.

Nie umiała uwodzić, ale Vincenzo nagle zrozumiał, że gdyby jej nie pociągał, Lucy nigdy nie zachowałaby się tak, jak wczoraj. Sama nie wiedziała, dlaczego postępuje w ten sposób, bo… nie miała doświadczenia. W niczym.

– A teraz się mnie boisz?

– Tak.

Powiedziała to słowo z wahaniem, jakby nie była pewna, czy powinna powiedzieć mu prawdę.

Nie tego pragnął. Nie tu i teraz. Bała się go od dawna, a on nie chciał być kolejnym mężczyzną, którego Lucy się boi.

Położył dłoń na jej drżącej dłoni i wolno przyłożył jej dłoń do swojej piersi. Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczyma.

Jej dotyk był delikatny, jak ciepły promień słońca. Lekko rozchyliła miękkie i zmysłowe wargi. Jest taka bezbronna, pomyślał.

– Dalej się mnie boisz? – zapytał cichym głosem.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Chciała mu powiedzieć, że się nie boi, ale musiałaby skłamać.

Bała się jego gorącego ciała. Twardych jak stal mięśni. Siły, która płynęła w nim jak prąd po linii wysokiego napięcia.

Miał oczy ciemne, jak noc rozciągnięta za tarasem, i brutalnie piękną twarz, na której rysowała się dzikość zmysłów. Ta mieszanka działała na nią jak magnes.

Powiedziała prawdę, że zeszła na dół, bo nie mogła zasnąć. Myślała o nim cały dzień i nie mogła przestać. Była zła na niego, że śmiał obnażyć jej uczucia – lęk, który jak cierń tkwił w niej od śmierci matki.

Bała się Vincenza, ale zarazem pragnęła jak nikogo przedtem. Przyszła jej na myśl matka, która też bała się ojca Lucy, a jednak trwała przy nim do końca.

Ale matka kochała go, a Lucy nie kochała Vincenza.

Cały dzień poznawała zakamarki rezydencji, żeby tylko odpędzić krążące wokół niego myśli. Podświadomie jednak rozglądała się za… Vincenzem. Chciała go spotkać. Porozmawiać.

Teraz, stojąc na tarasie z dłonią na jego pierś, nie wiedziała, czego chce. Była pewna, że nie miłości, bo jej nigdy nie chciała. Seksu? Może…

Dla każdego znającego internet seks nie jest tajemnicą. Lucy oglądała różne rzeczy. Wydawały jej się śmieszne i naiwne. Ale to, co widziała na monitorze komputera, nie miało nic wspólnego z tym półnagim mężczyzną patrzącym na nią ze zmysłowym żarem w oczach.

Dlaczego po prostu nie bierze jej całej?

Tacy silni i władczy ludzie biorą, co chcą. Ale Vincenzo nie wziął jej poprzedniej nocy, chociaż Lucy ofiarowała mu siebie. Człowiek o niezłomnych zasadach moralnych, który nigdy ich nie złamie tylko po to, by zaspokoić pożądanie.

Zwilżyła językiem wyschłe wargi.

Nie powinna się bać Vincenza. Nie był jak jej ojciec. Ona nie była jak matka. Kiedyś była odważna, jak ona. Śmiała i ciekawa świata. Ale później nadeszła tragiczna śmierć Kathy.

Od tego czasu lęk dziwnym zrządzeniem losu dawał Lucy poczucie bezpieczeństwa, bo był jedynym towarzyszącym jej uczuciem. Ale zeszłej nocy zrozumiała, że jest nim zmęczona. Zmęczona też lękiem przed Vincenzem.

Teraz stał przy niej mężczyzna, który przypominał jej panterę. Głaskała jej futro i nic złego się nie stało. Vincenzo nie był gwałtowny. Nie krzywdził jej. Trzymał tylko jej dłoń przy swojej piersi…

– Tak, boję się, ale czy to ważne? – spytała.

– Bardzo – odparł.

– Dlaczego?

– Tak długo żyjesz w lęku. Nie chcę, żebyś się mnie bała. Nie teraz. Nie tutaj.

– Chyba… Chyba… nie ciebie się boję, lecz siebie… Tego, czego pragnę – odpowiedziała.

W jej głosie brzmiało wahanie i niepewność.

– A czego pragniesz, Ptaszyno?

Vincenzo znał odpowiedź, bo widział ją w oczach Lucy, ale chciał usłyszeć to od niej samej.

Nie możesz się ciągle bać, pomyślała. Masz tylko tydzień, a może tylko tę chwilę.

Kolejna może nigdy nie nadejść…

Nigdy…

– Myliłeś się zeszłej nocy – szepnęła. – Pragnę cię. Szukałam cię cały dzień i… nie mogłam znaleźć…

– Ale teraz znalazłaś… I co chcesz ze mną zrobić?

Vincenzo uśmiechnął się ciepłym uśmiechem.

– Nieee… Nie… wiem… Nic nie wiem. Nigdy…

Nie miała żadnego doświadczenia. Umiała ukrywać miliony kradzionych dolarów na kontach w rajach podatkowych. Wiedziała wszystko o finansach, ale nie wiedziała, jak dotykać mężczyzny.

– Proszę… – szepnęła.

To jedno słowo brzmiało jak błagalna prośba, ale i wydobyty gdzieś z jej serca rozkaz. W tym słowie było wszystko, czego nie umiała powiedzieć.

Uniósł jej dłoń i przytulił do swoich warg. Poczuła na niej ciepło jego pocałunku.

Drugą dłonią lekkim ruchem uniósł jej głowę.

Lucy drżała. Nagle przylgnął ustami do jej warg. Myśli Lucy odpłynęły. Pocałunek zmiótł je wszystkie. A wraz z nimi i jej lęk. Czuła, że otwiera się jak kwiat do słońca. Jakby ktoś wreszcie rozsupłał ciasny węzeł jej duszy. Jakby czekała na tę chwilę całe życie. Czekała na niego. Była Śpiącą Królewną, a on księciem, który właśnie zbudził ją ze snu.

Vincenzo stał przy niej.

Oddała mu pocałunek. Był lekki i delikatny. Vincenzo jednak dopiero zaczynał erotyczny taniec. Jego język tańczył z jej wargami, zgłębiając jej

usta. Coraz bardziej pożądliwie. Lucy nawet nie wiedziała, czy ma się mu oprzeć, czy bez pamięci rzucić się w wir tego tańca. Jej język poszedł więc śladem jego języka, którego smak przenikał ją całą. Wnikał w nią i wibrował.

Pragnęła więcej. Pragnęła czuć jego gorące, mocne ciało przy swoim. Wtulić się w nie. Wcisnąć do końca. Poznać jego najdrobniejsze zakamarki. Ale nie wiedziała, jak to zrobić, bo ten mężczyzna był dla niej jak litery nieznanego alfabetu.

Vincenzo wiedział jednak, co Lucy czuje.

Puścił jej dłoń i – jakby zgadując jej myśli – obiema rękami przytulił ją do siebie. Nie przestawał jej całować, a jego pocałunek stawał się coraz bardziej gorący. Coraz bardziej wymagający, ale i czuły.

Ale jak mistrz erotycznej ceremonii Vincenzo powoli kończył pocałunek, bo wiedział, co zrobi za chwilę.

Porwał Lucy na ręce i po chwili wbiegł z nią do salonu. Podszedł do jednej z długich pokrytych poduszkami sof i delikatnie posadził na niej Lucy.

Klęknął przed nią. Chciała położyć mu dłonie na głowie, ale ujął je w swoje i przycisnął do sofy bo obu stronach jej ud.

– Trzymaj je tutaj – powiedział. – Pokażę ci, czym jest rozkosz. Pozwól mi.

Położył swoje dłonie na jej kolanach i delikatnie rozsunął jej uda. Wsunął się między nie na klęczkach. Wstrzymała oddech i zadrżała, gdy poczuła między nimi jego wąskie biodra, a nagą pierś tuż przy sobie. Był tak wysoki, że nawet siedząc, miała twarz na wysokości jego twarzy.

Vincenzo nachylił się do niej i znów przylgnął ustami do jej ust. Wzdychała, czując, jak rozlewa się po niej ciepła fala podniecenia. Vincenzo wsunął ręce pod jej szlafrok na uda i powolnym ruchem zaczął

przesuwać dłonie w górę, jakby opuszkami palców chciał poznać każdy najmniejszy fragment jej ciała. Dotarł do jej piersi i zatrzymał dłonie.

Poczuła, jak twardnieją jej sutki. Pragnęła, by je dotykał i pieścił. Ale palce Vincenza przekomarzały się z jej pragnieniem i doprowadzały ją do szaleństwa. Nie dotknęły sutków, lecz delikatnie pieściły obrzeża jej piersi. Teraz zaczął przesuwać wargami po jej szyi.

Znów pragnęła więcej, ale Vincenzo się nie śpieszył. Wiedział, że Lucy już się go nie boi, a erotyczna gra dwojga kochanków może toczyć się tylko wtedy, gdy nie ma w niej lęku.

– Proszę… Vincenzo… Pragnę…

– Bądź cierpliwa, Ptaszyno. Wiem, co chcę ci dać, ale chcę też poznać smak twojego ciała. Smakować każdy jego zakątek.

Słysząc te słowa, poczuła w oczach łzy.

A więc jest warta tego, by mężczyzna smakował jej ciało i rozkoszował się nim?

Pragnęła tylko, by ta chwila nigdy się nie skończyła. Aby Vincenzo uprawiał swój erotyczny taniec jak najdłużej. Bez końca.

Całował teraz wewnętrzną stronę jej ud. Powoli przesuwał wargi w przód, aż poczuł na nich jej wilgoć.

Drżała tak mocno, że bała się, że za chwilę jej ciało rozpadnie się na małe drobinki. Głośno oddychała, próbując powstrzymać gwałtowne bicie serca. Rozlewał się w niej ocean rozkoszy. Chciała w nim utonąć i już nigdy więcej nie wynurzyć się na powierzchnię.

Vincenzo przysunął ją bliżej brzegu sofy i jednym ruchem uniósł jej nogi na swoje ramiona, a po chwili wrócił językiem między jej uda. Pieścił ją głębokimi powolnymi ruchami. Uprawiał swoją magiczną grę.

Lucy płynęła między gwiazdami. Galaktyki się skrzyły. Jedna po drugiej wybuchały supernowe. Zbliżała się do granic kosmosu.

Ale wszystko to znikło w oceanie rozkoszy, który ją pochłonął, gdy język Vincenza wykonał ostatni piruet erotycznego tańca. Lucy przestała istnieć. Nie miała imienia. Ale w tym doświadczeniu nie było cienia lęku. Zapadła się w nie cała i chciała w nim pozostać. Bez imienia. Bez nazwiska.

Galaktyki eksplodowały. Krzyknęła jego imię. Na nocnym niebie błysnęła gwiazda. Lucy szybowała ku niej w rozkoszy.

Leżeli obok siebie na sofie. Trzymała dłoń na jego ramieniu. Na jej twarzy widniał uśmiech kobiety, która właśnie poznała smak rozkoszy. Vincenzo nie mógł oderwać od niej wzroku. Czuł na ustach słodko-słony, wilgotny smak. I pragnął więcej. Nigdy tak bardzo nie pragnął kobiety. Seksu – tak, ale zawsze było mu obojętne, z kim go uprawia.

Teraz pragnął właśnie jej, Lucy.

Myślał tylko o tym, by wziąć ją na ręce i zanieść do sypialni, ale widział uśmiech na jej twarzy i chciał, by wybrzmiał on na niej do końca. To on sprawił, że się uśmiechała. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz uczynił kogoś szczęśliwym. Kiedy kobieta w rozkoszy krzyczała jego imię. Może nigdy.

Nie udawał. Pragnął jej tylko dla siebie, choć wiedział, że jest przestępczynią, a to kłóciło się z jego moralnym kodeksem.

Miała rozpięty szlafrok. Po raz pierwszy widział ją nagą i nie mógł się napatrzeć. Pełne idealne piersi z twardymi sutki, które przypomniały mu leśne jagody. Krągłe biodra i uda. Miękkie i pełne gracji. I śliczne czarne gniazdko między nogami.

Był podniecony. Nie mógł dłużej czekać. Wstał i wziął ją na ręce.

– Co robisz? – szepnęła przez uśmiech.

– Zabieram cię do sypialni, Ptaszyno.

– Pragnęłam, żebyś był moim pierwszym…

W pierwszej chwili zmieszał się, słysząc to wyznanie, ale jego pożądanie było silniejsze. Pragnął, by dziś nie bała się niczego, a najmniej – jego.

– Są lepsi ode mnie…

– Może – przyznała. – Ale ich nie pragnę. Pragnę ciebie.

Jej szczerość sprawiła, że poczuł ucisk w sercu. Nikt nigdy tak mu nie ufał. A przecież miał tyle na sumieniu…

Stał, trzymając ją na rękach.

– Wyglądasz tak poważnie. O czym myślisz? – spytała.

– O tobie nagiej w moim łóżku.

– Czemu? Co jest we mnie, że mnie pragniesz?

Mógł skłamać. Powiedzieć, że nie wie. Że go uwiodła. Vicenzo był w życiu hipokrytą, ale nie umiał jej okłamywać. Nie wtedy, gdy trzymał ją bezbronną na rękach. Była tak krucha i delikatna. Znów czuł jej kwietny zapach. Chciał nawet położyć ją na schodach i, nie czekając na nic, wejść w nią tu i teraz.

– Jesteś piękna, Lucy…

Mówił prawdę. Była kobietą, której piękno jest rzeczą ukrytą i tajemniczą. Odkrywa się powoli, jak film, który fotograf wywołuje w ciemni.

– I bardzo odważna. Szczera i uczciwa.

Otworzyła usta, by coś powiedzieć, ale przykrył je pocałunkiem.

– Nie zaprzeczaj. To prawda choć może w nią nie wierzysz.

– Jesteś taki dobry i miły…

Dobry i miły? Mógł myśleć o sobie wszystko, ale nie to!

Nie odpowiedział i wszedł na schody prowadzące do sypialni. Nogą pchnął drzwi i położył ją na plecach na wielkim białym łożu, a sam paroma niecierpliwymi ruchami zerwał z siebie ubranie. Przez chwilę stał nagi. Patrzyła na niego z zaciekawieniem i pożądaniem w oczach. Jakby pierwszy raz widziała nagiego mężczyznę. Przypominał jej rzeźbę Dawida Michała Anioła.

Vincenzo ułożył się między jej nogami. Jej ciało prężyło się, przyciskając się do jego ciała. Dłońmi muskała jego ramiona.

– Ty też jesteś piękny… – szepnęła.

Vincenzo nie potrzebował jednak słów. Ciepło jej jedwabistego ciała i zapach oszałamiały go tak, że nawet nie słyszał, co powiedziała. Przylgnął wargami do jej warg.

Pragnął tylko w nią wejść. Twardym i szybkim ruchem. I kochać się. Kochać bez końca. Ale powstrzymał się, bo wiedział, że jest dziewicą i jeśli będzie zbyt gwałtowny, sprawi jej ból, a chciał dać jej tylko jedno – rozkosz. Wszedł w nią więc miękko i delikatnie. Patrząc jej prosto w oczy, by zauważyć w choćby najmniejszy grymas bólu. Ale widział w nich tylko pełne szczęścia zaciekawienie kobiety, która pierwszy raz przeżywa seks z mężczyzną. Zaczął więc poruszać się głębszymi i posuwistymi ruchami.

Uniósł lekko do góry jej uda, by móc wejść w nią jeszcze głębiej. Lucy wbiła paznokcie w jego ramiona, płynąc na fali rosnącej w niej rozkoszy.

– Och… Vincenzo… proszę… Och… proszę…

Wchodził w nią coraz głębiej i szybciej, aż poczuła, jak i przez niego przepływa rwący strumień rozkoszy. Lucy znowu krzyknęła jego imię. Znieruchomiała i naprężyła ciało, które po chwili zaczęło się wolno rozluźniać. Vincenzo delikatnie opadł na nią. Leżeli tak dyszący i spoceni.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Rankiem obudziła się w sypialni Vincenza.

Przez białe zasłony wpadały promienie słońca, tańcząc na jedwabnej pościeli.

Była sama.

Przez chwilę czuła się rozczarowana i smutna. Pragnęła, by leżał obok niej. By mogła wtulić się w jego silne męskie ciało w świetle dnia. Słyszeć, jak Vincenzo oddycha.

Zamknęła oczy. W myślach wspominała wczorajszą noc. Uczucie, jakie przeżywała, gdy w nią wchodził. Głęboko. Do końca. Nie czuła bólu, a jedynie chwilowy dyskomfort, który znikł tak szybko, jak się pojawił. Później doznawała już tylko poczucia niezwykłej bliskości z tym mężczyzną. Na jego twarzy widziała nieposkromione pożądanie. Zanim zalała ją fala rozkoszy, która zmyła wszystko, przez krótką jak mgnienie oka chwilę dostrzegła w jego oczach coś bezbronnego. Jakąś ogromną stratę.

Był to jednak moment tak krótki, że teraz, leżąc w promieniach porannego słońca, zastanawiała się, czy nie uległa złudzeniu. Co mogłoby sprawić, że ktoś tak silny i potężny jak Vincenzo poczułby się bezbronny? Tacy mężczyźni niczego nie tracą. Życie hojnie daje im wszystko.

Czytała, że korzenie jego rodziny sięgały czasów średniowiecza. Jej członkowie działali wtedy jako szpiedzy opłacani przez nieistniejące już dziś włoskie księstwo. Szybko jednak zrozumieli, że więcej zysków

przyniesie przestępcza działalność. Zawsze udawało im się wymigiwać od prawa. Walczyli przede wszystkim o posłuch i szacunek innych europejskich przestępczych rodów. Toczyli z nimi wojny i podsycali sięgające wieków spory. Czyniliby tak pewnie do dziś, gdyby nie Vincenzo, który zdradził niesławną tradycję i doniósł policji na własnych rodziców.

Potem rozpoczął walkę z klanami przestępczymi. Vicenzo siał wśród nich postrach.

Dlaczego zdradził? Lojalność była fundamentem i siłą napędową starych rodzin. Ich krwią i kośćmi. Zdrajców bezlitośnie karano. Vincenzo musiał przeżyć coś, co zdruzgotało w nim tą świętą lojalność. A może nigdy jej nie miał?

Niemożliwe. Taki człowiek musi mieć poczucie lojalności i celu. Ale jak rozumiał swoją lojalność? Jako lojalność wobec sprawiedliwości? Odkupienia zbrodni własnej rodziny?

Co za różnica? Za tydzień Lucy będzie już w areszcie.

Ta nagła myśl sprawiła, że zerwała się z łóżka. Szybko wzięła prysznic i poszła do swojej garderoby. Wczoraj dostarczono wszystkie zamówione przez Vincenza stroje i ubrania. Patrzyła na nie z niedowierzaniem i… zachwytem. Wszystkie miały jej rozmiar i pochodziły od najdroższych projektantów, których nazwiska znała tylko ze słyszenia. Piękne i ekskluzywne materiały…

Nigdy nie interesowała się strojami, ale teraz uśmiechała się do siebie zakładając lekką i zwiewną jak mgiełka jasnozieloną sukienkę w kwiaty. Od razu przyszło jej też na myśl, czy będzie się w niej podobać Vincenzowi.

Z pewnością podobałaby się matce, która uwielbiała ubierać małą Lucy, a dziewczynka kochała te wspólne chwile, gdy matka przymierzała jej

różne ubranka. Jednak, gdy Kathy umarła, córka zupełnie straciła zainteresowanie swoim wyglądem.

Teraz wracało ono przez mgłę wspomnień.

Lucy przejrzała się w lustrze. Trzeba tylko jeszcze coś zrobić z włosami.

Jesteś kobietą, pamiętasz?

Przez chwilę zastanawiała się, czy to poważne chcieć się podobać wrogowi. Ale szybko odrzuciła tę myśl i zeszła na dół, na taras, mając nadzieję, że spotka Vincenza. Stół był już nakryty do śniadania, ale na tarasie nie było nikogo.

Rozczarowana wróciła z powrotem do willi. Nie wiedziała, po co właściwie szuka Vincenza. Spędzili razem noc. To wszystko. Niczego sobie nie obiecali.

Dał jej rozkosz i najbardziej niezwykłe doświadczenie w jej życiu, ale wciąż pozostawał tym, kim był. Nic się nie zmieniło.

Nie. Zmieniło się wszystko. Zmieniła się Lucy. Poczuła się bardziej pewna siebie. Silniejsza. Jak gdyby tej nocy, razem z rozkoszą, Vincenzo oddał jej też część swojej siły. Lucy czuła się inną kobietą.

Dlaczego więc miałaby się bać go znaleźć? Nie być wobec niego szczera? To on powiedział, że szczerość jest rzadka na tym świecie…

Całe życie wszystko w sobie tłumiła i ukrywała. Martwiła się o własne bezpieczeństwo. Vincenzo dał jej noc bez strachu. Noc rozkoszy i ciepła.

A Lucy pragnęła jeszcze więcej.

Zostało jej tylko kilka dni…

Jej rozmyślania przerwało wejście Martiny. Na migi spytała służącą, gdzie jest Vincenzo. Z jej gestów wywnioskowała, że pracuje w gabinecie

i nie chce, by ktokolwiek mu przeszkadzał. Lucy potrzebowała tylko pięciu minut rozmowy. Szybko podjęła decyzję i ruszyła w stronę gabinetu.

Stanęła przed zamkniętymi drzwiami i dyskretnie zapukała. Odczekała chwilę, a gdy nikt się nie odzywał, cicho nacisnęła klamkę.

Gabinet był ogromny ze wspaniałym widokiem na taras i dalej na schodzący w dół ogród, aż do białego klifu i złociście połyskującego w dali morza. Przy wysokich łukowatych oknach stało wielkie masywne biurko, a za nim… odwrócony plecami Vincenzo. Rozmawiał po włosku przez telefon. Lubiła, gdy mówił w tym języku. Jego głos był wtedy melodyjny, swobodny i spokojny.

Miał na sobie parę znoszonych dżinsów i błękitną koszulkę bez rękawów.

Jednak w jego uniesionych ramionach i plecach wyczuwała napięcie. Rozmawiał z jej ojcem? Stało się coś złego?

Zamknęła za sobą drzwi i wolnym krokiem podeszła do biurka. Musiał usłyszeć jej kroki, bo się odwrócił. Natychmiast dostrzegła w jego oczach dziki i srogi błysk. Zawsze miał taki wzrok czy ona po prostu nigdy nie zauważała, że potrafi tak patrzeć?

Te oczy wyrażały niezłomną wolę Vincenzo. Mówiły, co nim kieruje w jego walce. Były to oczy człowieka, którego nikt i nic nie zatrzyma. Któremu obce są litość czy współczucie i który nie ma żadnych ciepłych uczuć.

Jednak w nocy był wobec niej czuły i łagodny, dając jej czas, by przeżyła wszystko do końca.

Dalej rozmawiał przez telefon tym samym tonem co przedtem. Lucy stała w miejscu, nie mogąc złapać oddechu.

Coś się stało?

Vincenzo był zły. Nie – był wściekły.

Jeszcze tydzień temu uciekłaby z gabinetu. Teraz jednak z uniesioną głową czekała, aż skończy rozmowę. Przedtem chciała go zapytać, dlaczego tak wcześnie wstał i zostawił ją samą. Teraz jednak myślała tylko o tym, skąd się wzięła jego wściekłość.

Nagle przerwał rozmowę i rzucił telefon komórkowy na biurko.

– Czego chcesz? – spytał szorstkim głosem. – Poleciłem Martinie, żeby nikt mi nie przeszkadzał.

– Dlaczego się złościsz? – spytała.

– A jak myślisz? Pracuję, a ty mi przeszkadzasz.

– Nie dlatego – odparła. – Chodzi o mojego ojca?

Vincenzo mruknął coś pod nosem i z powrotem odwrócił się do okna.

Pragnęła podejść do niego i położyć dłonie na jego twardych, napiętych barkach, by uśmierzyć jego napięcie. Walczyła ze sobą. Ale przecież spędzili razem tylko jedną noc. Czy miała prawo wtrącać się w jego sprawy?

– Vincenzo?

Mimo wszystko nie dawała za wygraną.

– Powinnaś wyjść. Nie mam nastroju do rozmowy.

– Dlaczego? Co się wydarzyło?

Odwrócił się do niej i spojrzał na nią twardym, mrocznym wzrokiem.

– Ty się wydarzyłaś, Lucy. Ty.

Przeszył ją chłodny dreszcz.

– Nie rozumiem…

– Wczorajszej nocy postąpiłem wbrew swoim zasadom moralnym. To się więcej nie zdarzy.

Rzucił te słowa przez zaciśnięte zęby, jakby wbijał rozgrzany do czerwoności miecz w bryłę lodu.

– Nie sypiam z kobietami, które są moimi więźniami.

Ona była problemem. Vincenzo wyrzucał sobie, że się z nią przespał.

Poczuła w sobie ogromny żal i zawód. Zbyt szybko uznała, że było im tej nocy tak wspaniale…

Jej, ale nie jemu.

Zwilżyła językiem suche wargi.

– Rozumiem… Nie myślałam…

– Nie myślałaś, by się ze mną przespać? Nie chciałaś mnie ośmieszyć? Sprawić, żebym zapomniał o swojej misji? – Uśmiechnął się drwiącym uśmiechem. – Przeceniasz swój urok i czar. Swoje piękne ciało. Uległem własnej słabości.

Poczuła rozdzierający serce ból. Pragnęła wybiec z gabinetu, uciec jak najdalej i ukryć się gdzieś, gdzie nikt jej nie znajdzie. Dla niej ta noc była czymś wyjątkowym i bezcennym. Dla niego – niczym. Zwykłym seksem.

Mówił, że chce się nią całą rozkoszować… Kłamał?

Przez głowę przebiegła jej myśl, że może nie była warta takich słów. Że może z własnej winy znalazła się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie.

Naiwnie uznała, że Vincenzo przeżył to samo, co ona. Ją ta noc zupełnie odmieniła, ale on był tylko… wściekły na siebie.

Bolała ją ta świadomość. Niczego od niego nie oczekiwała, ale nie chciała też postępować tak, jakby się nic nie stało.

Mówił, że szczerość to dziś rzadkość.

Postanowiła więc, że będzie z nim i ze sobą szczera.

– Wiem, że wściekasz się na mnie, bo inaczej krzyczałbyś na siebie. Możesz żałować tej nocy, ale ja nie żałuję. Ani jednej chwili. Dlatego tu przyszłam. Chciałam wiedzieć, dlaczego rano zniknąłeś i czy…

– Nie – przerwał jej szorstko. – Nigdy się już z tobą nie prześpię.

– Nie pytałam, co zrobisz, tylko czy chcesz… pragniesz…

Patrzyła na niego z podniesioną głową… I nagle doszło do niej, że Vincenzo pragnie. Bardzo. Widziała to w jego płonących oczach. Płonęły takim samym pożądaniem jak wtedy, gdy w nocy w nią wchodził.

Zaprzeczał swoim uczuciom. Toczył walkę ze sobą o to, czy ma prawo pragnąć.

Lucy nie wiedziała jednak, co robić.

– Nie chcę – odpowiedział.

Napięcie nie opuszczało go ani na chwilę.

– Kłamiesz, a tyle mówiłeś o szczerości…

– Nie wyobrażaj sobie, że mnie znasz! – Vincenzo prawie krzyczał. – Nie masz pojęcia…

– Pragniesz mnie. Widzę to w twoich oczach.

– Przestań. Już ci powiedziałem.

– To dlaczego wciąż jesteś zły? Po co się złościć, jeśli już nigdy nie będziemy się kochać?

Milczał.

Lucy pomyślała, że może jednak powinna wyjść. Że naciskając na niego, postępuje zbyt egoistycznie. Chciała przecież, by sprzeciwił się własnym zasadom i temu, w co wierzył. Ale Vincenzo był też człowiekiem wielkich namiętności, które domagały się uwolnienia. Dlaczego nie miałaby mu w tym pomóc? Już raz przecież pomogła – wczorajszej nocy.

– Chcesz wiedzieć, dlaczego tu jestem? – spytała.

– Nie!

Zignorowała go.

– Przyszłam, żeby ci powiedzieć, że ta noc była dla mnie wyjątkowa i niezwykła. Sprawiłeś, że poczułam się cudownie i tak bardzo bezpiecznie. Całe życie się bałam. Wczoraj ani przez chwilę nie czułam lęku. Rozumiesz? Pragnę przeżyć to znowu.

– Jesteś moim więźniem.

– Ciągle o tym mówisz. Dla ciebie to ważne, ale nie dla mnie.

– A powinno być i dla ciebie – odpowiedział. – Gdy znajdziesz się w areszcie, nikt ci nie pomoże. Nie uśmierzy twoich lęków.

– Wiem – odpowiedziała.

– Nie oczekuj ode mnie łagodnego traktowania i współczucia.

– Nie prosiłam o nie.

– Nie wiesz, o co prosisz.

Uniosła wyżej głowę.

– To mi to pokaż.

Dzieliło ich tylko biurko. Powstrzymywał się przed tym, by chwycić ją w ramiona, jednym brutalnym ruchem położyć na drewnianym blacie i w nią wejść.

Wyglądała pięknie w sukience, której kolor nadawał jej skórze kremowy odcień i podkreślał głęboko kasztanowe włosy. Przez prawie przezroczysty i zwiewny jak piórko materiał widział zmysłowo krągłe kształty Lucy.

Rano nie mógł znaleźć spokoju, bo cały czas o niej myślał. Rzucił się w wir pracy, mając nadzieję, że odzyska równowagę. Nic z tego. Nawet mejl, w którym Armstrong proponował mu układ, przeczytał tylko pobieżnie.

Jego myśli krążyły tylko wokół Lucy.

Wiedział, że popełnił błąd, spędzając z nią noc, ale zatracił się w oczach Lucy. W jej spojrzeniu, które w jednej chwili sprawiło, że zapomniał o wszystkim. Gdyby to był tylko seks, stałaby się jedną z wielu kobiet, z którymi w przeszłości romansował. Spałby z nią, kiedy miałby na to ochotę. I tyle.

Ale Lucy nie była jedną z nich. I nie był to tylko seks. Wiedział to, gdy tylko jej dotknął. Gdy w nią wszedł i zapragnął, by ta chwila trwała wiecznie.

Patrzyła na niego i pieściła go, jakby był księciem, który przybył na białym koniu, by uratować ją przed jej lękiem i smutkiem. Mężczyzną, któremu zaufała i który ochroni ją przed aresztem. Da poczucie bezpieczeństwa.

Vincenzo wiedział jednak, że nigdy nie da jej żadnej z tych rzeczy, bo musiałby zanegować swoje dotychczasowe życie. Siłą napędową jego misji było poczucie sprawiedliwości. Nikt nie miał prawa grać jego uczuciami czy kierować nimi tak, jak uczyniła jego matka.

Jednak Lucy wdarła się w jego uczucia, nawet o tym nie wiedząc.

Nie. To on jej na to pozwolił. Pokazał swoją słabość. Powinien pałać ogniem swojej misji, a nie pożądania. Ale ogień pożądania nie wygasł. Lucy stała tuż przy nim, oferując mu to, czego jego ciało tak rozpaczliwie pragnęło…

Nagle wszystkie wątpliwości, dla których toczył walkę ze sobą, wydały mu się niedorzeczne. Dlaczego nie? Może tej nocy było między nimi coś więcej niż seks, ale kto powiedział, że musi być tak dalej. Seks jest seksem. Można go uprawiać bez uczuć. Lucy nie jest już dziewicą. Za kilka dni przekaże ją policji, a całe to szaleństwo rozwieje się jak poranna mgła.

W wyrazie jej oczu widział jedno wielkie wzywanie. W ich głębi czaił się szmaragdowy błysk. Taki sam jak wczoraj, gdy dochodząc do końca

rozkoszy krzyczała jego imię.

Wolnym krokiem okrążył biurko i podszedł do Lucy. Stała w miejscu, patrząc, jak do niej podchodzi. Była jak otwarta księga. Pożądała go.

Pragnął delikatnie ująć jej twarz w dłonie i pocałować Lucy. Okazać jej czułość, ale się powstrzymał. Chciała, żeby jej pokazał, więc pokaże.

– Klęknij – rozkazał zimnym głosem.

Zawahała się, ale po chwili uklękła. Odchyliła głowę i spojrzała na niego.

Vincenzo wstrzymał oddech. Czuł, jak ogarnia go niepohamowane, samcze podniecenie. Jedną ręką zdjął jej okulary i położył je na biurku.

– Co mam zrobić? – spytała.

W jej głosie nie słyszał żadnej nuty lęku, tylko pełne podniecenia oczekiwanie, które sprawiło, że poczuł, jak jego puls przyspiesza. Mógł ją nauczyć tak wielu rzeczy, które przyniosą rozkosz im obojgu. Dlaczego miałby nie spróbować?

– Powiem ci.

Rozpiął rozporek dżinsów. Spuścił spodnie i bokserki. Uważnie śledziła ruchy jego rąk.

– Daj mi dłoń – powiedział.

Zrobiła, co powiedział.

– Obejmij nią moją męskość.

Dotyk jej dłoni palił, ale już wiedział, że nie uda mu się sprawić, by znów się go bała.

– Teraz weź mnie do ust – rozkazał twardym tonem.

Posłusznie wykonała polecenie. Objęła wargami jego męskość, tak jakby całe życie czekała na ten moment. Poczuł ciepło jej ust. Zacisnął zęby, by się powstrzymać i nie wejść w nie brutalnie głębiej.

Zamiast tego zanurzył dłoń w jej włosach i delikatnie zaczął kierować ruchami jej głowy, pokazując jej, że lubi lekkie i posuwiste ruchy warg.

Lucy nie oponowała. Chętnie odbierała tę lekcję francuskiej miłości. Nie miała doświadczenia, ale jego brak nadrabiała zapałem. I to on sprawił, że Vincenzo niemal dochodził. Uprawiał seks oralny z wieloma kobietami, ale nigdy nie czuł takiej rozkoszy.

Patrzył na twarz Lucy. Zamknęła oczy, jakby smakowała coś najsłodszego. Powstrzymał ją i delikatnie odchylił jej głowę. Otworzyła oczy i zaskoczona spojrzała na niego.

– Och… Robiłam coś nie tak?

Vincenzo jednak nie słyszał jej pytania. Rozpierało go podniecenie. Gwałtownie uniósł Lucy do góry i położył na plecach na blacie biurka. Jednym ruchem podciągnął jej sukienkę i rozsunął nogi. Zanurzył palce między uda Lucy.

Westchnęła, gdy poczuła ich dotyk. Jej oczy zaszły mgiełką pożądania.

Gdy w nią wchodził, czuł, jak jej ciepło i jedwabista wilgotność obejmują jego męskość. Jakby zanurzał się w wilgotnym wiosennym mchu.

– Och, Vincenzo… Tak… Tak… – zamruczała szeptem.

Gwarny świat jego bezładnych myśli, nagle stanął w ciszy.

Czuł tylko jej ciepło. Rozkosz. I ten cudowny spokój bez napięć.

Zacisnęła uda wokół jego bioder, mocno trzymając w sobie jego męskość. Pieścił dłońmi jego włosy. Przylgnęła wargami do jego warg. Całowała go tak delikatnie, że Vincenzo miał poczucie, że uprawia seks po raz pierwszy. Nowy i cudowny.

Ucichła w nim wewnętrzna walka, jaką toczył od rana. Rozkosz sama znajdowała swoje miejsce. Wchodził w Lucy lekkimi i posuwistymi ruchami. Przestał na chwilę, by zdjąć jej przez głowę sukienkę, a potem biustonosz. Zrzucił swoją koszulkę.

Nie dzieliło ich już nic. Byli nadzy.

Lucy całowała go coraz bardziej zachłannie. Vincenzo odpowiadał tym samym, jakby od dawna nie całował kobiety. Jego przedtem posuwiste ruchy stawały się coraz szybsze i gwałtowniejsze.

Wziął jej dłoń i skierował ją między jej uda, pokazując, co robić, by zwiększyć rozkosz. Lucy pieściła samą siebie i czekała już tylko na ostateczny wybuch, który uwolni jej ciało i pozwoli jej odpłynąć gdzieś w nicość.

Gdy obejmując go udami, przeżywała pierwszą falę rozkoszy, Vincenzo wszedł w nią ostatni raz. Do końca. I znieruchomiał. Po chwili położył się na niej i przytulił. Z zamkniętymi oczami głaskała go po włosach.

Kochankowie płynęli po własnym morzu.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Lucy próbowała wygrzebać się spod koca, pod którym leżała na sofie w salonie na dole, gdy mocne męskie ramię objęło ją wpół i przyciągnęło z powrotem.

– Jeszcze z tobą nie skończyłem – usłyszała przy uchu głos Vincenza.

Westchnęła głęboko i położyła dłoń na jego muskularnym brzuchu. Lubiła pieścić jego ciało i lubiła reakcję Vincenza na jej dotyk.

– Ale jestem głodna.

Uniósł się i położył na niej.

– Zawsze jesteś głodna – powiedział z uśmiechem.

– Tak jak ty.

– Na szczęście mam tu najsmaczniejsze danie…

Schylił głowę i delikatnie objął ustami jej sutek.

– Ale ja nie mam…

– Kłamiesz, Ptaszyno.

Po upojnym seksie w gabinecie wziął ją na ręce i zaniósł na dół do salonu, gdzie kochali się cały dzień. Vincenzo nie mógł się nią nasycić. Dłońmi i językiem zgłębiał każdy kawałeczek jej ciała, a ona odpowiadała mu tym samym.

Gdy dwoje ludzi czerpie radość i rozkosz z seksu, mogą kochać się bez końca.

Odesłał Martinę i sam przygotował późny lunch. Gdy zjedli, kochali się znowu, aż zasnęła w jego ramionach.

Gdy się obudziła, siedział nagi, oparty plecami o krawędź sofy z laptopem na kolanach, ale zaraz zerwał się na równe nogi i położył obok niej.

Zanurzyli się w sobie na kolejną godzinę.

Lucy nigdy nie czuła się tak szczęśliwa.

Vincenzo miał jednak dla niej kolejną niespodziankę.

Wziął ją na ręce i zaniósł korytarzem na mały tylny taras ocieniony drzewami i krzakami róż. W środku kamiennej podłogi tarasu znajdowała się wpuszczana w nią ogromna wanna, nad którą unosiła się mgła pary łagodnie wirująca w płomykach rozmieszczonych wokół świec.

– Piękne. To dla mnie?

Lucy stała oniemiała z zachwytu.

– Tak. Nie mamy tu plaży, a kąpiel przy skałach jest niebezpieczna. Pomyślałem, że jeśli coś cię boli po naszych wyczynach, z przyjemnością zrelaksujesz się w ciepłej wodzie, patrząc na gwiazdy.

Naga zanurzyła się w wannie. Woda pachniała różami. Wieczór był ciepły.

– Zaraz wrócę – powiedział i zniknął w głębi domu.

Westchnęła głęboki i oparła głowę o krawędź wanny, wsłuchując się w dobiegający z dołu cichy szum fal podobny do szumu muszli. Na ciemnym niebie iskrzyły gwiazdy, a płomyki świec błyszczały jak świetliki.

Spokój.

Cisza.

Poczucie bezpieczeństwa.

Jak niewiele potrzeba do szczęścia, pomyślała.

Ojciec jej tu nie znajdzie. Nikt jej nie znajdzie. Vincenzo nie pozwoli.

Nagle przemknęła jej myśl o areszcie, ale szybko ją odrzuciła.

Musiała przysnąć, bo nie zauważyła, kiedy wrócił. Przyniósł tacę z przekąskami, butelkę wina i kieliszki. Rozłożył wszystko na kamiennym stole stojącym obok wanny. Założył już dżinsy, ale wciąż był nagi od pasa w górę.

Patrzyła, jak rozlewa wino. Był piękny. Oszałamiająco męski z idealnie wyrzeźbionym jak u sporowca ciałem. Namiętny i pełen uczucia. Jakże inny jest teraz niż wtedy, gdy zobaczyła po raz pierwszy!

Mówił, że nie ma w sobie litości, ale był nieskończenie delikatny i opiekuńczy. W Lucy rodziło się uczucie do tego mężczyzny…

Nie. Tylko go podziwiała.

Walczyła z myślami, a woda wydała jej się nagle chłodniejsza.

– Najpierw jedzenie. Jest też świeży chleb, sałatka, oliwki i sery. Nie chcę umrzeć z głodu w najważniejszym momencie – powiedział żartobliwie, wyrywając ją z zamyślenia.

Przez chwilę spoglądał na nią z uśmiechem. Lubiła, gdy tak na nią patrzył.

– Wyjdź z wanny i pozwól mi cię wytrzeć.

Mogła zrobić to sama, ale dopiero przy nim pierwszy raz w życiu odkrywała, jak wspaniale jest, gdy ktoś się o ciebie troszczy. I dba.

Vincenzo, nie spiesząc się, wytarł ją miękkim ręcznikiem. Zrobił to tak, jakby pieścił całe jej ciało. Jakby ta zwykła czynność była taką samą sztuką, jak sztuka kochania. Gdy skończył, pomógł jej założyć ten sam jedwabny szlafrok. Usiedli na kamiennych ławach umieszczonych po obu stronach stołu.

Przez chwilę w milczeniu siedzieli naprzeciw siebie.

– Jest cudownie. Dziękuję ci, Vincenzo – powiedziała, sięgając po oliwkę. – Wszystko jest cudowne. Często bywałeś tutaj jako dziecko?

– Nie. Ale teraz spędzam tu niemal każdą wolną chwilę.

– Dlaczego?

– Nasz rodzinny pałac zbudowano wieki temu. Jest zimny i chłodny. Wolę tę słoneczną willę… I morze.

– W naszym domu w Kornwalii najgorsze jest to, że jest blisko morza, ale nigdy nie widziałam wody.

– W ogóle nie pozwalali ci wychodzić. Nawet na przejażdżkę samochodem.

W jego głosie zabrzmiała troska.

– Nie. Pewnie wywalczyłabym pozwolenie na spacer nad morze, ale po co? Gdybym je zobaczyła, zatęskniłabym za tym, czego nie mogłam mieć. Łatwiej było zwiedzać świat w internecie.

– Nigdy nie opuszczałaś domu?

– Kilka razy ojciec zabrał mnie do Londynu, ale nie lubiłam z nim jeździć. Przerażali mnie ludzie, z którymi ojciec się spotykał.

– Dlaczego? Skrzywdzili cię?

Jego głos brzmiał jak zapowiedź zemsty.

– Nie. Bali się ojca jak ognia.

– Ty też?

Poczuła łzy w oczach.

– Tak. I wciąż się boję.

– Jednak od niego uciekłaś.

Vincenzo pochylił głowę i spojrzał na nią. Na wspomnienie ojca skuliła się w sobie, jak mały ptaszek.

Ptaszyna.

Przedtem w ciągu dnia nie rozmawiali o sobie i o niej. Unikała tematu swojej matki i obietnicy, jaką Lucy jej złożyła, ani o tym, dlaczego matka umarła, bo Vincenzo dowiedziałby się, jak bardzo Lucy czuje się winna…

Nie chciała o tym mówić. Wolała, by dalej myślał o niej, jako o kobiecie, która zasłużyła na ochronę i troskę, a nie o kimś, kto obwinia się o śmierć matki. Nie chciała przerywać nici ciepłego uczucia, jaka ich nagle związała. Wciąż miała nadzieję, że uda jej się zmienić jego zdanie. Gdyby poznał prawdziwą przyczynę śmierci Kathy, już by go nie zmienił.

Ale przecież nie mogła go okłamywać. Cenił jej szczerość, a więc powinna wyznać mu prawdę i zaakceptować własną winę. Jak długo można ją ukrywać?

Zebrała się na odwagę, bo wiedziała, że jeśli tego nie zrobi, to po prostu się rozpłacze.

– Opowiem ci o matce – zaczęła niepewnym głosem. – Pragnęła, żebym była wolna, ale długo nie mogłam się odważyć… Zabiłam ją, Vincenzo. Rozumiesz, zabiłam. Wszyscy wierzyli, że matka się potknęła, wpadła na okno, pokaleczyła szkłem i wykrwawiła się na śmierć. Ale nie tak było…

Lucy zmusiła się, by mówić dalej.

– Ojciec miał mnóstwo tajemniczych nocnych spotkań. Paliła mnie ciekawość. Próbowałam go podsłuchiwać. Matka ostrzegała mnie, że jeśli ojciec mnie złapie, zbije mnie… Ale byłam głucha… Pewnego dnia mnie przyłapał. Wpadł w furię. Chciał mnie uderzyć, ale matka mnie zasłoniła… I na nią spadł jego cios. Wpadła na okno… Szkło rozcięło jej tętnicę. Ojciec nie zrobił nic. Po prostu wyszedł. Próbowałam jej pomóc… Ale nie dałam rady. Wokół… Vincenzo… wokół było tyle krwi… Morze krwi, Vincenzo…

Zamilkła. Z jej oczu popłynęły łzy.

– W ostatnich słowach błagała, żebym obiecała jej, że ucieknę i będę żyć z dala od ojca… Szczęśliwa… Wtedy umarła…

Patrzył na nią z nieruchomą twarzą, ale w jego oczach płonął gniew. Gdyby mógł, zabiłby teraz Armstronga w jednej chwili.

– Lucy… Ptaszyno… – powiedział tylko miękkim i ciepłym głosem.

– Masz rację… – odezwała się znowu, ocierając łzy. – Jestem kryminalistką. Ponoszę winę za wszystkie przestępstwa, jakie popełniałam dla ojca. Ale najbardziej… najbardziej jestem winna śmierci matki. Gdybym tylko jej posłuchała… Gdybym nie była taka ciekawa tego, co ojciec robi po nocach… nigdy by mnie nie złapał. Nie wpadłby w furię i nie chciał mnie uderzyć… Mama by żyła… Zabiłam ją, Vincenzo… To moja wina…

Lucy czuła, jak znów obejmuje ją czarna fala lęku. Odwróciła głowę, by nie patrzeć na Vincenza. Bała się, że za chwilę odsądzi ją od czci i wiary, a tak bardzo zależało jej na jego opinii. Jego łagodności i cieple. Na wszystkim.

I będzie miał rację, bo zasłużyła na jego potępienie.

Siedziała skulona i sparaliżowana strachem.

Ale nagle przyszło jej na myśl, że matka nie zachowałaby się w ten sposób. Kazałaby jej odważnie zmierzyć się z tym, co nieuchronnie nadciągało. Tak jak sama bez lęku zmierzyła się ze śmiercią.

Uniosła głowę i zmusiła się, by bez wahania spojrzeć Vincenzowi prosto w oczy. Matka nie zawahała się zasłonić Lucy własnym ciałem.

– Doceniam wszystko, co dla mnie zrobiłeś, ale nie zasłużyłam nawet na najmniejszą cząstkę tego.

Czekała na jego odpowiedź. Bladość na jej twarzy świadczyła, że spodziewała się najgorszego.

Prowadząc ją na taras, Vincenzo ani myślał o poważnej rozmowie. Nie tutaj. Ale sam sobie był winny, bo zapytał, dlaczego uciekła z domu. Teraz nie był pewien, co bardziej go przeraża. To, że Lucy obwinia się o śmierć matki, czy to, że spodziewa się, że i on ją obwini. Powiedziała przecież, że sama jest winna temu, że stała się przestępczynią. Miała odwagę wyznać mu prawdę. Widział po jej twarzy i łzach, których nie mogła powstrzymać, jak wiele kosztowało ją to wyznanie. Nie mógł zapominać o tym, co robiła pod brutalną presją ojca, ale Lucy nie była winna śmierci matki.

Podał jej serwetkę, by otarła łzy.

Jako niewinne dziecko patrzyła na śmierć matki. Czy można wyobrazić sobie większą tragedię? A potem piętnaście lat żyła przytłoczona poczuciem winy.

Czuł, jak żal ściska mu serce. Chciał wstać i chwycić ją w ramiona. Wyjąć z jej oczu ból, który w nich widział.

– Po ciosie twoja matka przewróciła się na okno i umarła z powodu wykrwawiania. Nie jesteś niczemu winna, Lucy.

Potrząsnęła przecząco głową.

– Nie posłuchałam jej, a powinnam… Mogłaby żyć…

– Byłaś dzieckiem. Jakie dziecko słucha wszystkiego, co mówią rodzice?

Lucy wciąż miała łzy w oczach.

– Bała się, ale próbowała mnie chronić. Zasłoniła własnym ciałem. Żyłaby, gdyby tego nie zrobiła… – Głos Lucy się załamał.

Z jej oczu znów popłynęły łzy.

Vincenzo nie mógł dłużej ze sobą walczyć. Zerwał się od stołu, usiadł obok niej na ławie i wziął ją ramiona. Tak jak wtedy, gdy przeżywała atak paniki.

Szlochając wtuliła głowę w jego ramię. Słysząc jej płacz, Vincenzo przytulił ją jeszcze mocniej, jakby chciał ją ochronić przed całym złem świata. Zasłużyć na zaufanie, którym przed chwilą go obdarzyła.

– Zrobiła to, co zrobiłaby każda matka – powiedział, gdy szloch Lucy ucichł. – Broniła swojego dziecka.

Jego matka uczyniłaby to samo. Jednak nie po to, by go uratować, lecz dlatego, że był jej potrzebny. Kochała Vincenza, ale jakże inaczej niż Kathy swoją córkę!

– Czasem nie mogę pojąć… Ciągle o tym myślę. Dlaczego mnie obroniła? Gdyby nie umarła, może inni nie doznaliby tylu krzywd, a ojciec nie wykorzystałby mnie do swoich celów…

– Nie myśl tak, Ptaszyno. Nikt nie zmieni przeszłości. Nie można rozmyślać, co by było gdyby. Nie zabiłaś matki. Ochroniła cię, bo cię kochała. Jeśli masz kogoś winić, to tylko ojca. To on jest przestępcą, nie ty.

– Ale pracowałam dla tego tyrana. Robiłam, co kazał. Gdybym się tak nie bała…

Delikatnie uniósł jej głowę ze swojego ramienia. Twarz Lucy była mokra od łez. Nawet z tym bólem i smutkiem Lucy wyglądała tak ślicznie, że nie mógł oderwać od niej oczu.

– Przestań się obwiniać. Poczucie winy może zniszczyć całe życie. Uciekłaś od ojca. Obiecałaś to matce i dotrzymałaś słowa. Tylko to się liczy.

– Gdybym naprawdę była odważna, zbuntowałabym się przeciw niemu. Matka miała taką odwagę. Wiedziała, że może ją skrzywdzić, a jednak się mu postawiła. Powinnam zrobić to samo. Zbuntować się i nie pracować dla niego. Pójść na policję… Pozwoliłam, by mnie więził, bo paraliżował mnie strach.

Ujął jej twarz w dłonie i opuszkami kciuków otarł z niej łzy.

– Miałaś prawo się bać. To brutalny gangster. Gdybyś mu odmówiła, skrzywdziłby cię lub zabił bez mrugnięcia okiem.

Potrząsnęła głową.

– Matka się go bała, ale mu nie uległa. Była taka dzielna, a ja siedziałam latami w pokoju jak truś. Wstydziłaby się za mnie…

– Nie – odparł stanowczym tonem. – Gdyby cię dziś widziała, byłaby dumna i pewna, że jej śmierć nie poszła na marne, bo uratowała cię przed krzywdą.

Lucy spojrzała na niego, jakby szukała czegoś, co tylko on może jej dać. Ślady łez na jej twarzy już wyschły.

– Skąd to wiesz?

Vincenzo nie wiedział nic o kochających matkach chroniących swoje dzieci. Ale zdążył poznać Lucy i rozumiał, co już dla niego zrobiła. Zmieniła go swoją szczerością i zaufaniem. Swoją gorącą namiętnością, a także lękiem, który często widział w jej oczach.

Lucy miała serce na dłoni.

– Bo okazałaś się godna jej poświęcenia – odpowiedział.

Chciał zamilknąć, ale słowa zaczęły same wychodzić z jego ust.

– Bo ja też robiłem rzeczy, których głęboko żałuję i których nie mogę już zmienić.

– Jakie?

Nie powinien jej mówić. Nikt nie wiedział, co zrobił. Nigdy nikomu nie powiedział i tak miało zostać do końca życia. Chciał jej jednak pokazać, że nie jest tak samotna, jak myśli. Że rozumie ją, jak nikt inny, bo wie, czym jest samotność.

Vincenzo już nie zważał, że dopuszcza do siebie uczucia, które na zawsze miały pozostać ściśnięte w ciasnym suple jego duszy.

– Nigdy nie wiedziałem, czym jest i co robi moja rodzina. Matka karmiła mnie fałszywą dumą z naszej historii. Arystokratyczny ród wojowników walczących w obronie swojej własności. Nazywała mnie „dumnym księciem de Santi”, a ja wierzyłem, że nim jestem. Byłem rozpuszczony i arogancki. Całkowicie pewien swojego miejsca w świecie. Zrozumiałem, kim jesteśmy, gdy było już za późno. Przez to, kim się stałem, zginęli ludzie…

– A kim się stałeś?

Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczyma.

– Współwinnym… – odparł poważnym głosem. – Chociaż zawsze nim byłem, ale wolałem tego nie widzieć. Matka była piękną kobietą. Kochała mnie, ale była też de Santi z krwi i kości. Nie byłem synem, lecz narzędziem w jej rękach. Od dziecka wykorzystywała mnie jako szpiega wobec jej wrogów, bo dziećmi łatwo manipulować i używać do manipulacji dorosłymi. Powtarzała mi, że jestem jej „dzielnym żołnierzem”, a jeśli chcę zostać generałem, muszę potwierdzać swoją wartość i słuchać rozkazów. Zasłużyć na ten stopień.

Vincenzo czuł, jak wraca do niego czarny jak noc lęk. Zawsze starał się go kontrolować, bo przecież nie zrobił nic złego. Lub przynajmniej przez lata tak sobie wmawiał.

– Pewnego wieczoru pojechaliśmy na operę w Neapolu. Po spektaklu matka wskazała mi jedną z kobiet we foyer i poprosiła, bym, udając zapłakanego i zgubionego dzieciaka, wywabił tę kobietę na jedną z bocznych uliczek, gdzie miała czekać na nią rodzina. Miałem siedem lat i kochałem matkę całym sercem. Pragnąłem tylko tego, by była ze mnie zadowolona, więc bez pytania zrobiłem, co chciała…

Chociaż minęły lata, ten mroczny lęk wciąż do niego wracał.

– Kobieta była bardzo miła. Przytuliła mnie i wzięła za rękę. Doszliśmy do uliczki… – Vincenzo zamilkł na chwilę i wziął głęboki oddech. – Stał na niej samochód, z którego wyskoczyło kilku zamaskowanych mężczyzn. Chwycili ją, wciągnęli do środka i odjechali z piskiem opon. Nie miała nawet czasu, by krzyknąć… Matka była w siódmym niebie, a ja dumny z tego, że „wykonałem rozkaz”. Ale… nie mogłem zapomnieć śmiertelnie przerażonej i białej jak papier twarzy tej kobiety, gdy mężczyźni wciągali ją do auta. Przeczuwałem, że stało się coś złego, ale nie dopuszczałem do siebie tej myśli. Zawsze jednak pamiętałem o tym zdarzeniu… Potem doszła sprawa… Gabrielli.

– Gabrielli?

– Gdy miałem dwanaście lat matka zachęciła mnie, by zaprzyjaźnił się z córką wrogiej nam rodziny. Była w moim wieku i nie bała się mnie, jak inne dzieciaki. Bardzo ją lubiłem. Znów nie spytałem matki, po co…

– Dzieci się ciebie bały? – spytała Lucy z niedowierzaniem.

– Tak. Przez moją rodzinę. Bano się nas w całej okolicy, choć wtedy nie widziałem, dlaczego. Ale miałem frajdę, że inni się boją księcia de Santi, który w mojej wyobraźni siał strach. Byłem całkowicie oddany matce. Ignorowałem wszystkie złe pogłoski, jakie o niej krążyły. A później, gdy podrosłem, także własne wątpliwości. Mówiono, że nasza rodzina to mordercy i zdrajcy. Że najbardziej wszyscy boją się mojej matki, bo słynęła z brutalności i cieszyła się złą sławą. Matka była drobną kobietą. Uwielbiała mnie. Nawet przez myśl mi nie przeszło, że może być… brutalna i bezlitosna.

Vincenzo znów zamilkł. Toczył walkę ze sobą, czy dalej dzielić się z Lucy swoim życiem. W końcu jednak opowiedział jej historię, jak zdradził Gabriellę, a Lucy słuchała wstrząśnięta. Widział to po jej oczach. Bał się, że za chwilę znów zobaczy w nich strach.

– Byłem współwinny śmierci jej ojca. Ignorowałem podejrzenia, które gromadziły się we mnie latami. Byłem zbyt zaślepiony miłością do matki, by choć przez chwilę pomyśleć, że wszystko, co mówi mi o rodzinie i o mnie, jest kłamstwem. Ale po śmierci ojca Gabrielli nie mogłem dłużej udawać…

Vincenzo dobrze pamiętał dzień, w którym zrozumiał i poczuł koszmarny ciężar własnej odpowiedzialności.

– Poszedłem na rozmowę z matką. Wyśmiała mnie. Powiedziała, że po prostu załatwiła z ojcem Gabrielli zwykłe porachunki i jeśli chcę pozostać członkiem rodziny, muszę przywyknąć do wojny. Że tyle już jej pomogłem. Oboje wiedzieliśmy, że w jej słowach kryła się zawoalowana groźba. Upomnienie, że jestem tak samo winny jak ona i jeśli nie będę siedział cicho, to potrafi sobie ze mną poradzić. Wszyscy wiedzieli, że jest tylko jeden sposób opuszczenia rodziny… W trumnie.

Lucy milczała, patrząc na niego nieruchomym wzrokiem.

– Wtedy podjąłem decyzję. Zebrałem wszystko, co mogłem, o działaniach matki i przekazałem policji. Na procesie wystąpiłem jako świadek. Dostała wyrok więzienia. Gdy wychodziła z sali sądu, nawet na mnie nie spojrzała. Dla niej byłem już martwy.

Vincenzo miał zapewnioną nietykalność. Ale zawsze pamiętał, że była to ustalona z prokuratorem cena za zdradzenie matki. Zapłacił ją, żeby rozpocząć misję swojego życia.

Nie winił matki za to, że wychodząc z sądu, zupełnie go zignorowała, ale ból pozostał, bo potwierdziła w ten sposób, że jej miłość do niego była tylko wytworem jego dziecięcej wyobraźni.

– Nie możemy winić się za to, co się stało z naszymi matkami, Vincenzo. Nie jesteś współwinny. Wykorzystała cię – powiedziała spokojnym głosem Lucy.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Oczy Vincenza zapłonęły gniewem.

– Myślisz, że tego nie wiem? – zapytał.

– Wiesz, ale wciąż czujesz się odpowiedzialny za przeszłość.

– Tak – odparł podniesionym głosem. – Zwabiłem tamtą kobietę do samochodu. Wykorzystałem przyjaźń z Gabrielą, by zdradzić jej ojca. Zginął z mojej winy. Cały czas wiedziałem, że dzieje się coś złego. Wątpiłem, ale nie słuchałem swoich wątpliwości i przeczuć. Gdybym…

– Nawet gdybyś ich wysłuchał, nic by to nie zmieniło.

Oboje nosili ból w sercu. Vincenzo czuł się tak samo winny, jak ona. Byli do siebie podobni i… byli dziećmi potworów.

– Może uratowałbyś ojca Gabrielli, ale mógłby zginąć ktoś inny. Nie możemy winić się za to, że rodzice wykorzystali nas w swojej grze. I nie zmienimy tego, co było.

– Wiem. Dlatego dziś dla mnie liczy się tylko dokończenie misji. Tacy jak moja matka i ich rodziny muszą siedzieć w więzieniu, bo są odpowiedzialni za krzywdy wyrządzone wielu ludziom.

Jego oczy dalej błyszczały.

Widziała, jak bardzo przygniata go ciężar winy. Gabriella go nie winiła, ale Vincenzo sam się obwiniał.

Lucy znała to uczucie. Po śmierci matki przez długi czas sama nie mogła zrzucić z serca jego ciężaru. W swojej krucjacie Vincenzo zawsze

będzie samotny. Nikt nie wiedział tak dobrze, jak ona, co znaczy zawsze być czujnym i nikomu nie ufać.

Jej serce wyrywało się do niego, ale nie mogła nic zrobić. Żadne słowa pocieszenia nie uczynią jego ciężaru lżejszym. Mogła ofiarować mu tylko swoje zrozumienie, bo dźwigała taki sam ciężar.

I ten sam lęk oraz rozdzierające duszę wątpliwości.

Ale może jest sposób…

– Poczekaj chwilę. Zaraz wrócę.

Lucy zeskoczyła mu z kolan.

Pobiegła do sypialni, chwyciła swój laptop i szybko wróciła na taras.

Vincenzo wciąż siedział na kamiennej ławie z wyrazem zdziwienia na twarzy. Usiadła obok niego, położyła komputer na kolanach i szybko wpisała kod.

– Spójrz. – Obróciła laptop w jego stronę. – To plik ze wszystkimi informacjami, jakich potrzebujesz. Jest twój.

– Miałaś przekazać mi go pod koniec tygodnia.

– Tak, ale wiem, jak ważna jest dla ciebie sprawiedliwość. Nie chcę żyć skulona w strachu jak tchórz. Pragnę ci pomóc.

– Czemu teraz, a nie przedtem?

Vincenzo patrzył na nią zaskoczony.

– Bo teraz lepiej rozumiem, co i dlaczego robisz. Nie chcę chować swoich informacji. Im dłużej będę je ukrywać, tym więcej ludzi ucierpi. Weź mój laptop i użyj go, by wsadzić mojego ojca za kratki na resztę życia, bo tylko na to zasługuje. Pod koniec tygodnia oddam się w ręce policji.

Vincenzo jednak nie wyciągnął ręki po jej komputer.

– A jeśli wezmę laptop i wydam cię od razu?

Wiedział, że tego nie zrobi, ale chciał usłyszeć jej odpowiedź.

– Nie zrobisz tego. Dałeś mi słowo, a wiem, że dla ciebie jest ono święte.

– Naprawdę jesteś gotowa pójść do więzienia? Tak po prostu?

Zabolało ją, że nie zaprzeczył. Po wszystkim, co jej powiedział? Vincenzo wziął odpowiedzialność za to, co kiedyś uczynił. Zmienił się i starał się naprawić dawne winy. Lucy nie mogła udawać, że nie ma przed sobą takiego samego zadania, bo wciąż obwiniała się o śmierć matki. Może kara za przestępstwa, które później popełniała, pomoże jej zrzucić kamień z serca.

– Poświęciłeś życie sprawiedliwości. Wziąłeś odpowiedzialność za siebie i zło, które wyrządziła twoja matka. Naprawiasz te krzywdy, broniąc innych ludzi przed przestępcami. Złamałam prawo, a moje działania powodowały ból innych. Muszę za nie zapłacić. Nie chcę iść do więzienia, ale nie chcę też stać ponad prawem. Poza tym nie miałabym serca manipulować tobą, żebyś mi pomógł uciec. Musiałbyś złamać swoje zasady, a o to nie mogę prosić. Nie mogę żądać wolności, na którą nie zasłużyłam.

Vincenzo powoli wyjął laptop z jej rąk, odłożył go na bok i delikatnie przyciągnął Lucy do siebie. Musiała odchylić głowę, by spojrzeć na jego twarz. Nie wiedziała, czy sama wciąż chce, by zmienił zdanie, czy woli raczej iść do więzienia. Jedno i drugie wiązało się z bólem. Może więc lepiej było cieszyć się każdą chwilą u boku Vincenza, gdy znikały przeszłość i przyszłość, a liczyło się tylko to, jak na nią patrzył i jej dotykał.

Tylko oni dwoje. Razem.

Ujął jej twarz w dłonie. Patrzył na nią, jakby była księgą spisaną w obcym języku, który zawsze chciał poznać.

– Dlaczego moje zasady są dla ciebie ważne?

Milczała dłuższą chwilę.

– Nie zasady, Vincenzo, lecz ty… Ty jesteś dla mnie ważny… Ty się liczysz.

Być może zrozumiała to kilka minut temu lub podświadomie wiedziała od ich pierwszego spotkania. Jednak czuła to właśnie teraz.

Ale nie możesz nic do niego czuć, pamiętasz? Lucy zganiła się w myślach. Pamiętała, ale chodziło tylko o… poczucie… pokrewieństwa. Wspólnotę losów. Nic więcej.

Wyraz jego twarzy gwałtownie się zmienił.

– Nie mów tak! – powiedział zimnym głosem, w którym brzmiał ton twardego oporu.

I rozkaz.

– Nie możesz nic do mnie czuć. Rozumiesz? Wywalczyłem sobie nietykalność za swoje czyny, żeby móc poświęcić się ściganiu zbrodniarzy. To wyrok, jaki dostałem. Dożywotni. Nikt i nic mnie od niego nie odciągnie. Muszę go wykonać.

Jego słowa zabrzmiały jak przestroga, ale Lucy jej nie potrzebowała. Wiedziała już, co jest stawką w tej grze. Nie ich wspólna przyszłość, choć sama jej pragnęła. Vincenzo nigdy nie złamie swoich zasad, a ona nigdy go o to nie poprosi.

Ale przeżyli jedną cudowną noc i kilka następnych. O to może go poprosić. Jej matka pragnęła, by córka była szczęśliwa, a Lucy nigdy nie była szczęśliwsza niż jego w ramionach.

– Wiem, że musisz, ale możemy spędzić razem choć te kilka dni?

– Nie, nie możemy.

Nie potrafiła odczytać wyrazu jego twarzy.

– Proszę, Vincenzo. Nigdy przedtem nie byłam szczęśliwa. Dałeś mi poznać smak szczęścia. Chciałabym zabrać do więzienia jeszcze więcej tego smaku. Żeby pamiętać…

Nagle pochylił się nad nią i mocno przylgnął wargami do jej warg. W jego oczach widziała gniew, pożądanie, żar i wyrzuty sumienia. Wszystko to naraz sprawiło, że Vincenzo wydał jej się jeszcze piękniejszy. Czuła na ustach smak jego rozpaczy, bo taką samą przeżywała. Jednym ruchem podniósł ją na nogi i wziął na ręce. Szybkim krokiem ruszył w głąb willi do swojej sypialni. Zerwał z Lucy szlafrok i nagą rzucił na łóżko. Rozebrał się, rozsunął jej nogi i położył się na niej.

Nie czekał, a Lucy nie chciała, by zwlekał choćby chwilę. Miała w sobie dręcząca pustkę, którą tylko on mógł wypełnić.

Wszedł w nią gwałtownie i głęboko. Tym razem nie traktował jej delikatnie, jak przedtem. Znikły jego czułość i łagodność. Uniósł jej uda, podciągnął je do góry i otoczył nimi swoje biodra tak, by wejść w nią do końca. Poruszał się szybko w brutalnym i mocnym rytmie.

Tak zachowuje się mężczyzna, który w seksie szuka balsamu dla udręczonej duszy.

Ale Lucy tego właśnie pragnęła. Pragnęła silnego i bezwzględnego Vincenza, bo nie była już małą przestraszoną dziewczyną, którą dwa dni temu przywiózł na Capri. Była kobietą. Inną od tej, którą przedtem znała. Odmienioną. Nie bała się ani siebie, ani jego, ani swoich pragnień.

Pragnęła wszystkiego tu i teraz, bo wiedziała, że nie ma już czasu. Tylko kilka dni. Te dni chciała spędzić tak, jakby były ostatnimi w jej życiu. Przeżyć tyle szczęścia, ile tylko da jej ten mężczyzna. I jeszcze więcej, a jemu dać to samo.

Może nie zasługiwała na to szczęście, ale on zasługiwał. W ciągu jednej nocy Lucy odkryła wielką tajemnicę miłości – kochankowie dają się sobie nawzajem i nawzajem biorą. Są jednym.

Objęła go mocno ramionami i mocniej zacisnęła uda. Całowała go i pieściła, pokazując mu, jak uwielbia kochać się z nim i rozkosz, którą jej

daje.

Dochodziła, wpatrując się w jego napiętą z wysiłku twarz. Nagle wszystko w niej ucichło. Przez chwilę błogi spokój obejmował ją swoją ciepłą dłonią. Gdy ją otworzył, wyleciała z niej jak pisklę, które przeżywa pierwszą rozkosz latania.

Lucy odlatywała w niebo.

Było ciepło i cicho.

Pierwszy raz w życiu Vincenzo nie wiedział, co robić. Zawsze miał przed sobą jasną ścieżkę i wyznaczony kierunek.

Liczyła się sprawiedliwość. Za kobietę, którą zwabił w ciemną uliczkę. Za Gabriellę i jej ojca, a także za siebie. Za to, że pozwalał się wykorzystywać.

Spełniając misję, nigdy nie odczuwał żadnego wewnętrznego konfliktu. Miał niezachwianą pewność, że działa w słusznej sprawie. Ludzie, których ścigał, zasługiwali na swój los.

Teraz jednak walczył z wątpliwościami. Ścieżkę, którą kroczył, nagle zasłoniła mgła.

Lucy odważnie przyjęła swoją winę. Więcej – miała poczucie, że zasłużyła na więzienie.

Jeszcze kilka dni temu miał spokojne sumienie.

Siedział na leżaku pod wielkim białym parasolem i patrzył na leżącą obok na takim samym leżaku Lucy. Była naga, bo podczas kąpieli w basenie ściągnął z niej kostium i kochali się w wodzie. Później nie zaprzątała już sobie głowy założeniem go z powrotem. W dali Vincenzo widział błękitną wodę basenu położonego przy samej krawędzi klifu, a jeszcze dalej – morze.

Przez dwa ostatnie dni kochali się, rozmawiali i pływali jego małym jachtem. Nic więcej.

Lucy uwielbiała siedzieć w słońcu na pokładzie, gdy ciepła bryza rozwiewała jej włosy. Czasem Vincenzo ustawiał ją za kołem sterowym i uczył kierować jachtem. Śmiała się wtedy swoim cudownym, dziecięcym uśmiechem.

Po powrocie z rejsu znów rozmawiali. Opowiadali sobie o swoim dzieciństwie, a Martina podawała im późny lunch.

Powiedziała, że dał jej poznać smak szczęścia.

Vincenzo, którego dotąd pochłaniał tylko jeden cel, uczynił kogoś szczęśliwym.

Patrzył na leżącą na leżaku Lucy i nie wiedział, dlaczego nieznośny ból sprawia mu myśl, że za chwilę ta kobieta znajdzie się w więzieniu. Dlaczego przejmował się jej losem? Według jego żelaznych zasad zasługiwała na niego, jak wszyscy inni przestępcy. Jednak teraz wiedział też, że patrzyła, jak jej matka wykrwawia się na śmierć. Że później latami żyła w strachu terroryzowana przez ojca. Pozbawiona przyjaciół, miłości i szczęścia – wszystkiego, dla czego warto żyć. Zmuszano ją do robienia rzeczy sprzecznych z jej kochającą, czułą i wierną naturą. Na jej miejscu inni już dawno by się załamali lub popadli w obłęd.

Tak jak on uginała się pod ciężarem poczucia winy.

Wspólnota losów…

Lucy przeciągnęła się na leżaku. Jej porcelanowa skóra nabrała już lekkiej opalenizny.

Jego piękna Ptaszyna…

W głębi serca już był pewien, że Lucy nie zasłużyła na więzienie, choć ciągle walczył ze sobą. Wszystko się zmieniło. Krystalicznie czysta szyba,

przez którą patrzył na świat, teraz zaszła mgłą. Nie wiedział nawet, na kogo patrzy – czy na skrzywdzoną, niewinną kobietę, czy na przestępczynię.

Była nimi obiema.

Dlatego pierwszy raz nie wiedział, co robić.

Ona jest tobą…

Na tę myśl przeszył go zimny dreszcz.

Nie. Z pewnością nie – odpowiedział sam sobie.

Nie była nim.

Ale sądzisz, że zasługuje na karę za swoje czyny, podczas gdy sam wymigałeś się od sprawiedliwości. To sprawiedliwe?

Vincenzo gubił się w myślach.

Płacił za swoje grzechy. Wtedy w nocy powiedział jej prawdę, że pomagając policji ścigać przestępców, wykonuje swój wyrok dożywocia..

Wsadził za kraty wielu ludzi. Nigdy by tego nie zrobił, gdyby sam siedział w celi. Jego życie nie było życiem wolnego człowieka. Miał ogromny majątek i mógł robić, co chce, ale żył w złotej klatce. Nieustannie pilnowali go ochroniarze. Był samotny, bo niczemu i nikomu nie ufał.

Odpłacił za swoje winy. I wciąż odpłacał.

A ona nie?

Pytanie to samo przyszło mu do głowy i zabrzmiało, jak gorzki wyrzut sumienia.

Życie Lucy było udręką spędzaną w lęku i samotności. Już zapłaciła za swoje winy. Bez względu na to, jak sam usprawiedliwiał swoje wybory, ona nie miała żadnego. Więc naprawdę była winna? Zasługuje na więzienie?

Ale co z nią zrobi, jeśli jej nie wyda? Prosiła o pomoc w ucieczce do Ameryki…

Mógłby jednak zatrzymać ją przy sobie i razem z nią zamieszkać na Capri. Byłaby tu zawsze, gdy tylko jej zapragnie. Dawałaby mu swoją szczerość i namiętność. Wierność i ufność.

Siebie.

Ona również dostałaby, czego pragnie. Powiedziała, że jest dla niej ważny. On też miałby dużo do dania. Czy jednak życie z nim nie byłoby dla niej innym więzieniem?

Żyłaby w ciągłym strachu przed tymi, którzy polują na jego życie. Nie mogłaby się ruszyć bez ochrony.

Od takiego życia przecież uciekła.

Spojrzał na leżącą na słońcu Lucy. Miała zamknięte oczy. Oddychała spokojnie, jak dziecko. Tak śpi ktoś szczęśliwy, kto nie boi się przebudzenia.

Mógłby ofiarować jej więcej, niż życie na Capri. Ale czy na zawsze? Była inteligentna i genialnie uzdolniona. Krążyły legendy o tym, jak łatwo porusza się w skomplikowanym świecie finansów. Mogłaby się w nim spełniać z radością, a nie w bólu i poczuciu winy.

Ale Vincenzo był niewolnikiem swojego życia. Wybrał ścieżkę samotnego rycerza. Lucy nie mogła kroczyć nią razem z nim.

Nie chciał zamykać jej w klatce swojego życia. I w żadnej innej.

Miał tylko jeden wybór.

Nie pozwoli, by poszła do więzienia. Tak wiele w życiu straciła, a może uczynić jeszcze wiele dobra w tym złym świecie.

Vincenzo wiedział już na pewno, że w głębi duszy Lucy jest dobrą kobietą. Co by robiła, gdyby mogła swobodnie spełniać swoje pasje? Ile dobra mogłaby stworzyć, gdyby uwolniła się od lęku? Kim by się stała?

Na to pytanie już znał odpowiedź. Byłaby kimś niezwykłym i jedynym. Nie można jej tego zabraniać. Może na świecie jest więcej rodzajów

sprawiedliwości niż ta jedna, której poświęcił życie? Większą niesprawiedliwością byłoby wsadzenie jej z powrotem do klatki niż danie wolności.

Ostania myśl sprawiała, że wszystkie inne przestały jak szalone krążyć w jego głowie. Spłynął na niego błogi spokój.

Wiedział, co zrobi.

W sercu już pogodził się z tym, że pozwoli jej odejść. Lucy dała mu szczęście i będzie o tym zawsze pamiętał.

Ale nie była i nigdy nie będzie jego własnością. Największym darem, jaki mógł jej ofiarować, była wolność.

Lucy otworzyła oczy i jej twarz rozjaśnił uśmiech, jakby jego widok dawał jej szczęście i radość. Wyciągnęła do niego ramiona. Vincenzo poczuł, że coś w nim się łamie, jakby spadał z krawędzi stromego klifu i nie miał się czego złapać.

Był rozpięty między szczęściem i nadzieją, jaką dała mu Lucy, a rozpaczą, jakiej nie przeżywał od czasu zdradzenia Gabrielli. Nie wiedział, czy kiedykolwiek zdobędzie się na to, by stracić Lucy, ale wiedział, że musi.

Ptaszyna odzyska wolność. Zbyt długo tkwiła w klatce.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Vinceznzo wszedł do jej sypialni w chwili, gdy Lucy właśnie wychodziła, by go poszukać. Miał na sobie szyty na miarę ciemnogranatowy garnitur i czarną koszulę, co jeszcze bardziej podkreślało jego nieodparcie zniewalający magnetyzm. Lucy nigdy nie widziała tak pięknego mężczyzny.

Miałaś nie pozwalać sobie na uczucia, zganiła się w myślach.

Tak, prawda… Po prostu go… podziwiała. Lubiła, gdy jej dotykał i to, jak na nią patrzył. Gdy był obok niej, zawsze czuła się szczęśliwa… Ale to z pewnością nie miłość…

Uśmiechnęła się i stanęła tuż przy nim, lecz nie oddał jej uśmiechu. Nie przytulił, co zwykle robił, gdy rankiem lub w ciągu dnia wpadali na siebie w domu czy w ogrodzie. Miał kamienny wyraz twarzy. Patrzył na Lucy zimnym wzrokiem. Wyglądał, jak wtedy, gdy po raz pierwszy spotkali się w jego biurze tydzień temu – bezwzględny i nieustępliwy.

– Coś się stało? Właśnie wychodziłam na basen…

Chciała się uśmiechnąć, ale powstrzymał ją chłód w jego oczach.

– Musisz się spakować. Lucy…

Słowa te spadły na nią jak ciężki kamień. Zrobiło jej się ciemno przed oczyma.

– Za godzinę wyjeżdżasz.

– Nieee… Nie rozumiem. Dałeś mi słowo…

W odpowiedzi wyciągnął rękę, w której trzymał niedużą niebieską książeczkę. Dopiero po chwili doszło do niej, że to paszport. Amerykański. Nie rozumiała, dlaczego jej go daje.

Lucy czuła, że ziemia usuwa jej się spod nóg. Miała przeczucie, że za chwilę zdarzy się coś złego. Ale przecież sama prosiła go o pomoc w ucieczce do Ameryki, gdzie nikt jej nie znajdzie. Z nowym nazwiskiem i tożsamością. Gdzie wreszcie będzie bezpieczna. Po to do niego przyszła.

Jednak to było przedtem, zanim zaakceptowała swoją winę i pogodziła się z więzieniem. I zanim między nią i Vincenzem zmieniło się wszystko.

Wszystko.

– Co to znaczy…?

Osłupiała patrzyła na paszport w jego ręku.

– A jak myślisz, Lucy? Nie oddaję cię policji. Załatwiłem ci paszport, nową tożsamość i numer ubezpieczenia. Wszystko, czego potrzebujesz, by zacząć nowe życie. Dopilnuję, by ojciec nigdy cię nie znalazł.

Lucy drżała na całym ciele. To nie dzieje się naprawdę. Vincenzo daje jej wolność? Po ich rozmowach o winie, karze, prawie i odpowiedzialności?

– Ale miałeś mnie oddać policji…

Z trudem usiłowała zrozumieć, co się dzieje.

– Zmieniłem zdanie – uciął krótko, nie patrząc jej w oczy. – Pracowałaś dla ojca pod przymusem. Szantażował cię. Nie miałaś wyboru. Już wiele razy za to zapłaciłaś. Jesteś wolna, Lucy…

Zamilkł. Przez jedną króciutką chwilę widziała, jak zaszklił mu się wzrok, ale nie była pewna, czy tak było naprawdę.

– Nie… nie zapłaciłam…

– Czyżby? A nie były zapłatą lata spędzone jako więzień ojca? Zabrał ci matkę. Masz wyrok dożywocia, bo zawsze będziesz o tym pamiętać.

Lucy miała wrażenie, że stąpa po ruchomych piaskach, które za chwilę ją zasypią. Nigdy nie sądziła, że Vincenzo może zmienić zdanie i da jej wolność… Wolność, na którą nie zasłużyła.

Naprawdę nie?

Mówił, że Lucy nie odpowiada za tamte czyny i nie może się winić. Że zasługuje na ratunek. Przez ostatnie dni opiekował się nią i sprawił, że poczuła się kobietą wartościową. Pewną siebie, która dotrzymała obietnicy złożonej matce.

Odmienił Lucy i uzdrowił jej duszę.

Patrzyła na niego i wzbierało w niej uczucie, które niszczy wszystko po drodze. Rosło w samej głębi jej serca. Wypełniało ją odwagą i siłą, jakich przedtem nie znała.

Wiedziała, czym jest to uczucie. Miłością.

Ten ślepy, ale i potężny przypływ siły czuła jej matka, gdy zasłoniła ją sobą. Zrobiła to z miłości do córki.

Lucy zalało jasne światło, które wypełniło ją pewnością, o jakiej nigdy nie marzyła.

Bała się tego uczucia. Jego mocy, która sprawia, że trwasz przy kimś, kto cię krzywdzi. Każe poświęcić życie dla drugiego człowieka, ale zrozumiała, że miłości nie można się bać, lecz trzeba ją przyjąć. Bo daje odwagę i siłę.

Lucy z trudem powstrzymywała łzy. Kathy pragnęła dla niej jednego – aby żyła i była szczęśliwa.

Szczęście jest podstawą, na której wznosimy swoje życie. Szczęście nie tylko dla Lucy, ale i dla niego, bo oboje przeszli w życiu przez piekło.

Zasługiwali na przyszłość, a ją może im dać miłość.

– Nie – odparła twardo, patrząc mu w oczy.

– Jak to nie? Wyjeżdżasz za godzinę.

– Nie – powtórzyła.

– Żartujesz – powiedział ostrym tonem.

– Nie wyjeżdżam. Chcę zostać.

– Przecież pragnęłaś nowego życia. Obiecałaś matce.

– Wiem, ale teraz pragnę czegoś innego. Ciebie, Vincenzo. Pragnę naszego następnego dnia. I jeszcze więcej. Pragnę przyszłości z tobą.

– Nie.

Ton, w jakim wypowiedział te słowo, nie zostawiał miejsca na wątpliwości.

– Wyjedziesz. Teraz. Śmigłowiec już czeka.

Podeszła do niego i stanęła tuż przed nim.

– Przecież też pragniesz wolności…?

Jej słowa zburzyły jego wewnętrzny spokój. Vincenzo rzucił paszport na łóżko, chwycił ją za ramiona i ścisnął je tak mocno, że musiało ją zaboleć. Jeszcze kilka dni temu Lucy skuliłaby się ze strachu, ale teraz nic w tym mężczyźnie nie mogło jej przerazić. Nie wtedy, gdy w jego ciemnych oczach widziała płonące uczucie.

– Pragnę – rzucił przez zaciśnięte zęby. – Pragnę jej z tobą, Ptaszyno. Ale jeśli zostaniesz dzień dłużej, nigdy nie pozwolę ci odejść. Rozumiesz?

– To nie pozwól.

Przez chwilę była pewna, że ogień uczucia w jego oczach spali ją na popiół, ale pragnęła spłonąć… Spłonąć razem z Vincenzem.

Puścił jej ramiona takim samym gwałtownym ruchem, jakim przedtem je chwycił. Ogień w jego oczach zgasł. Znów był zimnym i nieprzeniknionym Vincenzem, który nie ulega uczuciom.

– Nie wiesz, czym byłoby życie ze mną. Codziennie ktoś próbuje mnie zabić. Jestem ruchomym celem. Ty też byś się nim stała. Ochroniarze nie odstępowaliby cię na krok. Wolność miałabyś tylko w tej willi.

– Co z tego? Nie widzisz, że nie to jest ważne?

– Nie widzę. Nie chcę, żebyś była moim więźniem na tej wyspie. Powinnaś być wolna, by robić to, czego pragniesz i o czym marzysz. A przede wszystkim musisz być bezpieczna. Nigdy ci tego nie dam.

Lucy znów stała na ruchomych piaskach. Wiedziała, że jej nie zrozumiał. Ale dlaczego miałby zrozumieć? Zdradziła go matka, którą kochał nad życie. Najważniejsza osoba w jego świecie. Nikt go nie ochronił tak, jak ją ochroniła Kathy. Lucy straciła ją, ale wiedziała, że matka ją kocha. Vincenzo nie miał nikogo.

Był zimny i twardy. Zamknięty w sobie. Wiedziała, że drzemią w nim głębokie uczucia i namiętność, ale zamknął je na samym dnie duszy. Walczył ze sobą, rozdarty między swoimi zasadami a namiętnościami. Ale nie wiedział, że wcale nie musi między nimi wybierać? Może mieć jedne i drugie. Miłość pomieści je wszystkie.

Vincenzo bał się miłości.

Widziała ten lęk w jego oczach. Bał się tego, co zrodziło się między nimi, i nie wiedział, co robić. Był samotnym mężczyzną targanym sprzecznymi uczuciami, które dusił w sobie, by móc żyć.

– Gdybyś naprawdę mnie pragnął, byłbyś ze mną, Vincenzo. Nie musisz wybierać między zasadami a uczuciem. Jedno nie przeczy drugiemu. Mówienie o moim bezpieczeństwie to zwykła wymówka.

Przysunęła się do niego, ale stał nieporuszony. Patrzył na nią złowrogim wzrokiem. Biła od niego groźna aura, za którą chronił się, jak za zbroją.

Kiedyś złamano mu serce i teraz rozpaczliwie go bronił.

– Już dobrze, Vincenzo. Nie musisz się bać. Pamiętasz, jak mi to mówiłeś?

Próbowała uspokoić go tak, jak on ją uspokoił wtedy, gdy w panicznym lęku siedziała na jego kolanach.

Ale patrzył na nią tym samym zimnym wzrokiem.

– Nie boję się. Zasługujesz na wolność, a ja zasługuję na wolność… od ciebie. Odrywasz mnie od mojej misji i zabierasz czas. Mam ważniejsze rzeczy do robienia niż spanie z tobą.

Gdyby była tą samą Lucy, która kilka dni temu przyleciała z nim na Capri, słowa te zraniłyby ją do głębi. Ale była już inną kobietą. Zmienił ją Vincenzo. Pokazał jej, na czym polega jej prawdziwa siła i że nie można całe życie ukrywać się i uciekać. Że trzeba słuchać serca.

Wiedziała, że teraz Vincenzo kłamie. Buduje wokół siebie obronny mur.

Mogła zaatakować ten mur wybuchem gniewu i bólu. Ale wtedy Vincenzo wzniósłby go jeszcze wyżej. Miała tylko jedną drogę – skruszyć swój własny mur.

Musnęła dłonią jego policzek.

– Nie wiedziałeś, że zakochałam się w tobie. Uczyniłeś mnie szczęśliwą. Mężczyzna nie może dać kobiecie więcej, niż ty mi dałeś.

Przez krótką jak mgnienie oka chwilę miała poczucie, że jego mur się kruszy.

Ale tylko przez chwilę…

– Przestań – odparł.

Vincenzo był człowiekiem o żelaznej woli. Nic nie mogło go odwieść od raz podjętej decyzji. A na pewno nie kobieta, która kochała go całą sobą. Czuł się szczęśliwy w swojej klatce. Nie potrzebował nawet wiedzieć, że Lucy podaje mu klucz do drzwi.

Uratować mogła go tylko miłość. Tylko ona mogła ukoić jego lęk. Ale każda miłość przychodzi w swoim czasie. Vincenzo sam musiał otworzyć swoje serce. Lucy go do tego nie zmusi.

Czuła ból, ale nie za siebie, lecz za niego. Ten silny i pełen namiętności mężczyzna był jak pantera zamknięta w klatce. Klatce, którą sam zbudował. Zbyt ogarnięty lękiem, by z niej wyjść. Nawet gdyby drzwi stały otworem.

Lucy mogła tylko ofiarować mu ostatni dar – prawdę.

– Wierz, w co chcesz, Vincenzo, ale wiedz jedno: żadna sprawiedliwość na tym świecie nie zmieni uczuć, które masz w sobie. Nie ukoi winy i żalu. Tylko ty możesz to zrobić. Pozwolić sobie być po prostu szczęśliwym. Oboje zasługujemy na szczęście. Myślę, że kochasz mnie tak bardzo, jak ja ciebie, ale się boisz, i wiem dlaczego. Zdradziła cię jedyna osoba, która nigdy nie powinna cię zdradzić, i teraz chronisz siebie. Ale wiedz, że możesz mi ufać. Ja cię nie zdradzę. Kocham cię. Nie musisz walczyć i myśleć, że nie zasłużyłeś na miłość, bo na nią zasługujesz. Nie musisz być bez skazy. Nie musisz nic mi udowadniać, lecz tylko być sobą.

Między nimi zapadło głuche milczenie.

– Skończyłaś? – zapytał.

– Tak – odpowiedziała, choć czuła, że jej serce ściska się do rozmiarów małego kamyka, który spada gdzieś w przepaść.

Vincenzo odwrócił się i wyszedł.

Nie chciał patrzeć, jak pakuje swój skromny dobytek ani widzieć jej łez. Słuchać tego, czego nie chciał słyszeć. Że sam się boi i że ona go kocha.

Zbiegł na dół do gabinetu i głośno zatrzasnął drzwi. Stanął przy biurku. Czuł w sobie gniew na siebie za to, że nie pozwala swoim uczuciom wyjść na wierzch, i na nią za to, co powiedziała.

Bo mówiła prawdę.

Zasługujesz na miłość, powiedziała.

Nie. Nie zasługiwał. Poprzez swoją misję odbywał pokutę za własne czyny i czyny swojego rodu. Tylko ona mogła uwolnić go od przytłaczającego go jak ciężki głaz poczucia winy.

Zacisnął zęby, by znów poczuć się silnym. Jego decyzja zabolała Lucy, ale musiał ją podjąć. Nie z lęku, lecz dlatego, że Lucy odrywała jego uwagę od misji. A co by robił bez krucjaty, którą prowadził?

Kim był? Kłamcą. Mordercą. Zdrajcą. Narzędziem, a nie synem, którego matka powinna kochać jak każda inna swoje dziecko. Jak matka Lucy, która obdarzyła córkę miłością.

Jego Ptaszyna! Pragnęła mu pomóc, ale Vincenzo nie ufał swoim uczuciom. Był zdrajcą.

Jednak ona powiedziała, że go kocha takim, jakim jest i nigdy go nie zdradzi. Rozpacz, którą nagle poczuł w sercu, pchała go, by wybiec z gabinetu i znaleźć Lucy. Ująć w dłonie jej policzki i scałować z nich wszystkie łzy, a z oczu – cały ból.

Powiedział jej jednak, że nie dba o miłość. I wierzył swoim słowom. Musiał wierzyć.

Został więc przy biurku. Przez otwarte okno słyszał dobiegający z trawnika warkot skrzydeł śmigłowca, którym za chwilę Lucy odleci do Neapolu, a stamtąd samolotem do Nowego Jorku. Vincenzo osobiście wszystkiego dopilnował.

Mimo wszystko czuł ogromny ból w sercu. Jakby rozpaczliwa agonia wnikała we wszystkie zakamarki jego duszy. Zacisnął ręce na krawędzi biurka i wymierzył sobie cios w szczękę.

Weź się w garść, krzyknął do siebie. Skoncentruj się na misji i pracuj. Ciężej.

Skrzydła śmigłowca kręciły się coraz szybciej. Ich warkot wdzierał się do gabinetu Vincenza. Pod wpływem nagłego impulsu chciał rzucić się do okna, by zobaczyć, jak maszyna odrywa się od ziemi. Ale zdusił go siłą woli.

Powiedziała, że go kocha, jakby miłość była prawdą. On wiedział, że jest największym z kłamstw.

Miłość do matki zaślepiła go. Zmanipulowała i oszołomiła. Miłość go zdradziła. Obiecał sobie, że nigdy nie pozwoli, by nim władała.

Warkot skrzydeł śmigłowca przeszedł w ledwie słyszalny szum. Maszyna stawała się małym punkcikiem na niebie.

Vincenzo zamknął oczy i otworzył je dopiero, gdy szum ucichł zupełnie.

Gabinet był pusty.

Lucy nie było.

Została po niej martwa cisza.

Taka sama, jak w jego sercu.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Vincenzo odczekał miesiąc do czasu, gdy jego ludzie w Nowym Jorku, przesłali mu wiadomość, że Lucy już się urządziła. Wyjechała z miasta i zaszyła się na prowincji. Jej ojciec myślał, że córka wciąż jest na Capri. Wiele razy dzwonił do Vincenza, oferując mu ogromne pieniądze za odesłanie jej do domu.

Vincenzo ignorował te telefony.

Gdy dowiedział się, że Lucy jest już bezpieczna, skontaktował się z londyńskim Scotland Yardem i przekazał wszystko, czego potrzebowali śledczy, by postawić Armstronga przed sądem. Kilka dni później, gdy pracował w gabinecie nad kolejną sprawą, dostał telefon o aresztowaniu gangstera.

Gdy skończył rozmowę przerwał pracę i odetchnął z ulgą. Otworzył butelkę drogiego wina i z kieliszkiem w ręku wyszedł na taras, by popatrzeć na morze.

Nadciągał zmierzch. Wokół panowała cisza.

Zawsze po zakończeniu każdej prowadzonej sprawy odczuwał głęboką satysfakcję. Cieszył się, że wyrwał kolejne ogniwo z mafijnego łańcucha.

Teraz jednak pierwszy raz jej nie czuł.

Myślał tylko o tym, jak pusta i cicha stała się rezydencja po wyjeździe Lucy. Jak bardzo chciałby spotkać ją gdzieś na jednym z kamiennych korytarzy albo przy stole podczas lunchu. Zobaczyć wesoły błysk w jej oczach. Usłyszeć jej dziewczęcy śmiech. Pragnął, by rankiem, jak zawsze,

objęła go ramionami na powitanie. Tęsknił za ciepłem jej ciała, gdy zaspokojona leżała wtulona w niego jak dziecko.

Pragnął Lucy, ale jej nie było.

Przez ostatni miesiąc pracował, jak oszalały.

Praca zawsze poprawiała mu nastrój i uwalniała od wspomnień. Ale choć robił, co mógł, tęsknota szła za nim jak cień.

Gdyby przeżywał tylko poczucie winy… Z nim umiał sobie radzić, bo ciągnęło się za nim całe życie. Wobec braku Lucy i przeraźliwej ciszy, jaka nastała po jej wyjeździe, był zupełnie bezsilny.

Czym zresztą jest szczęście? Nie potrzebował go i nie pragnął. Słuchał tylko głosu powołania, które wypełniało całe jego życie.

Lucy powiedziała, że sam zabrania sobie szczęścia.

Nie. Spokój i szczęście nie były dla takich jak on.

Upił łyk wina, by jak zwykle z lubością rozsmakować się w drogim trunku, ale nie poczuł jego smaku.

Nieobecność Lucy zabrała mu nawet te drobne przyjemności.

Nagle poczuł, jak wzbiera w nim gniew i złość na siebie.

Dlaczego jej nie posłuchał? Pokazała mu, że można żyć w spokoju serca i bez poczucia winy. Śmiać się i cieszyć każdą chwilą.

Uczynił Lucy szczęśliwą, ale i ona pokazała mu, czym jest szczęście.

Gniew przybierał na sile. Płonął jak ogień, który niszczy wszystko po drodze. Miała rację. Cały czas miała rację. Sprawiedliwość nie może być jedynym celem życia, bo ono ma tysiące odcieni. Trzeba tylko otworzyć serce i chcieć cieszyć się życiem.

Z całej siły cisnął kieliszkiem o kamienną podłogę. Kryształowe szkło rozbiło się na drobne błyszczące kawałeczki.

To jej wina. Po co pokazała mu świat, którego nie znał i nie potrzebował? Przez nią będzie żył jak mityczny Tantal – wiecznie spragniony, ale skazany na to, że nigdy nie zaspokoi pragnienia.

Ale mógłby też przyjąć, że mówiła prawdę, pokazując, że sam zabraniał sobie szczęścia… Ta myśl tylko pogłębiła jego wściekłość. Jak mógłby być szczęśliwy, skoro krzywdził ludzi, zadawał im ból i był tak samo winny, jak jego matka? Ją przynajmniej spotkała kara, a on… jest wolny jak ptak…

Jak jego Ptaszyna…

Ale czy i on nie wypełnił już swojego wyroku?

Całe lata poświęcił misji, a jednak wciąż kłuła go zadra winy. Nie chowała się ani na chwilę, mimo że z każdym rokiem rosła liczba przestępców, których wsadzał za kraty. Nic nie mogło jej stępić.

Lucy nie kłamała.

Tylko ona potrafiła uśmierzyć to dręczące go poczucie. Znikało, gdy się kochali, gdy był w niej i patrzył jej w oczy. Czuł obejmujące go ramiona. Wtedy czuł się kimś więcej niż bezwolnym narzędziem w rękach matki. Więcej niż bezlitosnym krzyżowcem na wojnie ze zbrodnią i… ziejącą w jego sercu pustką, która wypełniła go, gdy matka wyszła z sali sądu, nawet na niego nie patrząc. Pustką pozostawioną przez zdradę i na zawsze złamaną synowską miłość.

Lucy powiedziała, że Vincenzo się boi. Że ściska go strach, że jest nikim i niczym. Niegodnym niczego.

Jeśli miała rację, to czego się bał?

Zamknął oczy. Kim byłby, gdyby nie żył sprawiedliwością, poczuciem winy i pokutą?

Kim?

Bezwolną bronią w rękach matki. Kukiełką, której sznurki trzymałaby w rękach. Niegodnym nawet jej skalanej i brudnej miłości.

Nagły strach ścisnął go tak mocno, że zadrżał na całym ciele. Chciał pobiec do gabinetu, by się uwolnić od tego żelaznego uścisku, ale zatrzymało go pytanie, które samo przyszło mu na myśl.

A jeśli Lucy miała rację?

Zaraz potem pojawiło się następne.

A jeśli jej uwierzę?

Wciąż stał w miejscu, bo w nagłym przebłysku świadomości zrozumiał, że gdyby pobiegł teraz do gabinetu i rzucił się w wir pracy, zrobiłby to samo, co robił latami – uciekłby.

Tak jak uciekał od bólu i poczucia zdrady.

Teraz jak na dłoni wiedział, że przez cały ten czas żył jak tchórz, który chował się przed własnym lękiem i z gorączkowej pogoni za sprawiedliwością uczynił tarczę chroniącą go przed sobą, a z prawości – miecz.

Bał się swoich uczuć.

A przede wszystkim najpotężniejszego z nich wszystkich – miłości.

Przyszły mu na myśl słowa Lucy: „Kochasz mnie tak samo bardzo, jak ja ciebie”.

Tak. Kochał ją. Kochał ją od wielu dni i tygodni. Całe życie spędził, czekając na nią, a teraz resztę jego życia wypełni tęsknota.

Bał się Lucy. Bał się jej szczerości, siły i odwagi, bo miała ich o tyle więcej niż on.

Wysłał ją do Ameryki, bo bał się jej miłości. Siły tego uczucia. Zrozumienia i akceptacji, które ono niesie. Wybaczenia, oczyszczenia, szczęścia i spokoju, które miłość obiecuje.

Myślał, że nie jest godny żadnej z tych rzeczy, ale Lucy mówiła co innego. Że wystarczy tylko wyciągnąć rękę i dokonać prostego wyboru.

Zaufać lub nie.

Czy zresztą w ogóle musiałby wybierać? Vincenzo znał odpowiedź. Leżała na dnie jego serca i duszy.

Ufał Lucy. I ją kochał.

Pierwszy raz w życiu nie uciekł i stanął twarzą w twarz z własnym lękiem. I przyjął miłość Lucy. Czuł, jak jej miłość rozlewa się w nim falą. Unosi go i staje się prawdziwym powołaniem. Celem o wiele bardziej złożonym niż wierność własnej misji.

Nagle spłynął na niego spokój, jakiego nigdy przedtem nie zaznał. Gniew zniknął, jakby odjął go dotyk dłoni Lucy, który zawsze działał na jego duszę jak balsam.

Vincenzo miał absolutną pewność.

Musiał odnaleźć Lucy. Odsłonić przed nią serce. Dać jej wszystko, czego tylko zapragnie. A jeśli go odtrąci, to odejść, wiedząc, że spotkanie tej kobiety było dla niego zaszczytem. Lucy była ważniejsza niż jego misja i lęk. Była najważniejszą osoba, jaką spotkał w życiu.

Vincenzo uśmiechnął się do siebie, wyjął telefon komórkowy i wybrał numer.

– Przygotujecie śmigłowiec do lotu do Neapolu. Mój samolot ma czekać na lotnisku. Lecę do Nowego Jorku.

Po przylocie do Ameryki i paru dniach spędzonych w Nowym Jorku Lucy znalazła sobie mały domek w pobliżu plaży na uroczym półwyspie Cape Cod. Polubiła samotne spacery wybrzeżem Atlantyku. Ciszę i spokój.

Znalazła pracę w małej firmie konsultingowej, gdzie mogła pracować online. Nie była to praca jej marzeń, ale płacono jej dobrze. Lucy zaczynała już myśleć o swoim życiu w dłuższej perspektywie.

Do pełni szczęścia brakowało jej tylko jednego.

Vincenza.

Zdobyła wszystko, co obiecała matce. Bezpieczne i wolne życie z dala od ojca.

Ale nie miała mężczyzny, którego pragnęła.

Jak zwykle o zachodzie słońca Lucy spacerowała wzdłuż plaży. Długie letnie i samotne spacery dawały jej dużo czasu na myślenie.

Zbyt dużo. Wiedziała, że powinna z nich zrezygnować, bo podczas nich myślała i wspominała tylko to, co stało się miesiąc temu. Jak spakowała swój dobytek i ze łzami w oczach wsiadła do śmigłowca.

Nie mogła sprawić, by Vincenzo zobaczył to, czego nie chciał widzieć. Miłość do niego dawała jej siłę, ale nie chroniła przed bólem złamanego serca.

Tym samym bólem, którego Vincenzo do siebie nie dopuszczał.

Kochająca kobieta cierpiała za mężczyznę, który jej nie kochał.

Spacerując, rozgarniała stopami jeszcze ciepły od słońca piasek. Co kilka kroków przystawała i zbierała muszelki, ale jej myśli jak ptak do gniazda wracały do Vincenza.

Wspomnienia wracały jedne po drugich.

Chciał, żeby wyjechała. Nie pomogły nawet jej słowa miłości. Trwał w sprzeciwie nie dlatego, że jej nie pragnął. Okłamywał się, mówiąc, że chce jej bezpieczeństwa i że odrywa go od misji. Lucy wiedziała, że jego słowami kryje się lęk, a o lęku wiedziała wszystko. Jak niszczy i pęta człowieka. Jak zalęga się na dnie serca. Miała odwagę zmierzyć się ze swoim lękiem, ale Vincenzo nie miał tej odwagi.

Stanęła w miejscu i tęsknym wzrokiem spojrzała na muszelki, które trzymała w dłoni. Palcem drugiej delikatnie otrzepała je z piasku. Czuła

ogromny smutek i żal, że Vincenzo wybrał samotną drogę i życie, w którym czuł się jak ptak w klatce.

Był więźniem, jak kiedyś ona.

Ale sam wybrał więzienie.

Uniosła twarz do góry, by wiatr osuszył jej łzy na policzkach.

Nagle w dali dostrzegła postać wysokiego mężczyzny idącego brzegiem w jej stronę. Zmrużyła oczy…

Nie… Wyglądał jak… Niemożliwe. To nie może być on… Tutaj na Cape Cod…

Słońce prawie zaszło. W wodzie oceanu odbijała się ostatnia pomarańczowo-szkarłatna poświata. Lucy powinna już wracać do domu, ale stała w miejscu, wpatrując się w nachodzącego mężczyznę.

Ten pewny siebie i mocny krok… Ciemne włosy. Twarde rysy…

Bała się, że jeśli się ruszy, mężczyzna zniknie i okaże się zwykłym przywidzeniem. Nieznajomy jednak podchodził coraz bliżej i bliżej.

To on.

On.

Wstrzymała oddech…

Był już przy niej. Bez słowa objął ją ramionami.

– Co tu robisz, Vincenzo?

Lucy drżała. Czuła nawet złość. Dała mu serce, a on je odrzucił.

– Puść mnie – powiedziała.

Opuścił ramiona. Odeszła pół kroku. W jego twarzy widziała napięcie. Oczy płonęły. Miała wrażenie, że przepełnia go jakieś gorące uczucie, które musi natychmiast wyrzucić z siebie jak wulkan. Tak wygląda ktoś, kto chce się uwolnić od dręczącego go bólu. Nigdy go takim nie widziała.

– Muszę ci coś powiedzieć. Pozwolisz mi?

– Powiedziałeś już wszystko na Capri.

Lucy drżała, walcząc ze sobą – odejść czy zostać i rzucić mu się z powrotem w ramiona.

– Nie wszystko – odparł. – Wtedy kłamałem, mówiąc, że chcę, żebyś wyjechała, że odrywasz mnie od pracy… Miałaś rację, ale potrzebowałem czasu, by ją przyjąć. Bałem się. Wiesz, dlaczego? Matka mnie zdradziła, zniszczyła moje zaufanie. Zabrała moją miłość do niej i złamała mi serce. Byłem jej narzędziem, nie synem…

– Och, Vincenzo. Niemożliwe… Matka nie mogła…

Lucy odzyskała już spokój, a w jej oczach zabłysły łzy.

– Mogła. Po jej zdradzie oddałem się misji, która stała się dla mnie ucieczką i schronieniem. Dzięki pracy nie musiałem mierzyć się z prawdą, że matka nigdy mnie nie kochała. Może dlatego, że nie było we mnie nic, co można by pokochać. I dalej nie ma…

– Nieprawda, Vincenzo. Masz w sobie tak wiele do pokochania…

– Wtedy na Capri nie wierzyłem twoim słowom. Szukałem wymówek, by uciec od tego, co próbowałaś mi pokazać. Ale… jestem zmęczony ciągłym uciekaniem. Brakiem zaufania i wiary w ludzi. Zmęczony wypełnianiem życia czymś, co nic w nim nie zmienia. Pragnę cię, Lucy. Jesteś odważną kobietą. Potrafiłaś zmierzyć się ze swoim lękiem. Twoja odwaga pomogła mi stanąć twarzą w twarz z moim. Jeśli jest na tym świecie osoba, której mogę zaufać, to jesteś nią ty. Pomogłaś mi odnaleźć spokój. Pokazałaś smak szczęścia. Twoja siła dała mi siłę. Niczego bardziej nie pragnę niż ciebie… Kocham cię, Lucy.

Zamilkł na chwilę i opuszkami kciuków delikatnie otarł jej łzy z policzków.

– Bałem się, że nigdy nie stanę się niczym więcej, niż uczyniła mnie matka. Nikim. Wierzyłem, że misja pozwoli mi uciec od tego strasznego

uczucia. Ale nie ona, lecz ty uwolniłaś mnie od niego. Ty. Tak bardzo cię kocham, Ptaszyno. Nie wiesz, jak żałuję, że cię skrzywdziłem. Nie wyobrażam sobie dni i nocy bez ciebie… Wrócisz do mnie? Pragnę byś była moja, a ja twój. Nic więcej się nie liczy.

W jego głosie słyszała niezachwianą pewność i siłę uczucia.

Przylgnęła do niego całym ciałem.

Gdy ich wargi spotkały się w namiętnym pocałunku, wiedziała, że w jego ramionach znalazła wszystko, czego pragnęła.

– Daj mi rękę – powiedziała, gdy oderwali się od siebie.

Podeszła z nim do samej wody i rzuciła do niej trzymane w dłoni muszelki. Błysnęły w poświacie zachodu jak złote monety.

– Na nasze szczęście i naszą miłość, Vincenzo. Będziemy tu wracać.

SPIS TREŚCI:

OKŁADKA
KARTA TYTUŁOWA
KARTA REDAKCYJNA
ROZDZIAŁ PIERWSZY
ROZDZIAŁ DRUGI
ROZDZIAŁ TRZECI
ROZDZIAŁ CZWARTY
ROZDZIAŁ PIĄTY
ROZDZIAŁ SZÓSTY
ROZDZIAŁ SIÓDMY
ROZDZIAŁ ÓSMY
ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY
ROZDZIAŁ DZIESIĄTY
ROZDZIAŁ JEDENASTY